

K
ZYGMUNTA KRASINSKIEGO

LISTY

O POEMACIE KAJETANA KOŹMIANA

STEFAN CZARNIECKI

POPZEDZONE

WSTĘPNÉM SŁOWEM I ŻYCIORYSEM.

TEDDOR WIERZBOWSKI

POZNAŃ,
NAKŁADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
1859.

7247
2125
W. P.

102908

Listy o
poemacie
Hoximiana
Sieru
Craniecki

452.802

Vit. 649524



K

ZYGMUNTA KRASINSKIEGO

LISTY

O POEMACIE KAJETANA KOŹMIANA

STEFAN CZARNIECKI

POPZEDZONE

WSTĘPNÉM SŁOWEM I ŻYCIORYSEM.



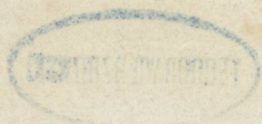
POZNAŃ,
NAKŁADEM J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
1859.

7247
2125

W. P.

✓
102908. II

BUP



Poznań, członkami Ludwika Męrsbacha

1922 27/II

ZYGMUNTA KRASINSKIEGO
listy
o poemacie Kajetana Koźmiana
STEFAN CZARNIECKI
poprzedzone
wstępne słowem i życiorysem.

Wstępne słowo.

Kiedy w narodzie jakim żył pisarz znakomity, wieszcz natchniony, duch wzniosły, który był pokrzepicielem w smutku, żywicielem dusz i umysłów bratnich, powszechność krajowa ma niewątpliwe prawo dopominać się o drogie po nim umysłowe i piśmienne pozostałości. Lecz nim one przejdą na dziedzictwo publiczne, są pierwej niezaprzeczenie własnością rodziny zmarłego, ta zaś znając najdokładniej zamiary jego i chęci, wie co, kiedy, i jak z tych pozostałych skarbów udzielić rodakom. Tem przekonaniem przejęty listy i pisma Zygmunta Krasieńskiego jakie w ręku moim miałem, zniósłem do skarbcu publicznego, składając je jego Czcigodnej Wdowie, aby jedne i drugie do korespondencji męża włączyła, i wraz z nią ogłosiła drukiem. Lecz sama ich osnowa tak odrębną stanowi całość, że i zacna małżonka Zygmunta, i najbliżsi jego przyjaciele uznali, iż je osobno wydać można i należy, — wydać należy jako wzniosłej krytyki pismo, jako znakomitą estetyczną pracę, zresztą jako że tak powiem straż przednią korespondencji przygotowującej

się do druku, okazującą czytelnikom czego po obszerniejszym zbiorze listów i pism Zygmunta oczekiwać mają. W jaki bowiem sposób w tych ośmiu dziś ogłoszonych listach, zajmuje się jedną rzeczą, jedno dzieło myśli ojczystej rozbiera, z taką głębokością i obfitością czucia, pomysłów i spostrzeżeń nad każdym ważniejszym zastanawiał się przedmiotem, z takim prądem wymowy porywającej, wyrażał się o wszystkim co umysł jego zajęło, co duszą jego wstrzęsło. — Gdyby te listy były tylko kadzielnicą, z którejby się same wonności wznosiły, gdyby obejmowały jeno panegiryk dzieła ojca mojego, byłbym się wstrzymał od ich ogłoszenia; lecz że mieszczą recenzyę, krytyczne uwagi, ale wzniosłe, szlachetne, miłością prawdziwą nacechowane, nie waham się z ich wydaniem, w mniemaniu że w obecnym stanie krytyki u nas, posłużyć mogą za wzór, a przynajmniej za skazówkę, jak utwory myśli i natchnienia rozważać i sądzić należy. Wspomniałem już w innem miejscu o tak rzadkiem a godnem poszanowania usposobieniu Zygmunta. Umysł jego tyle wrażliwy na wszystko co jest prawdziwem, pięknem, szlachetnem, i serce wolne od zawiści i próżności, jak w czynach ludzkich, tak i w utworach umysłowych piękną najprzód spostrzegały stronę, jej poszukiwały, nią się cieszyły. Nią więc ujęty często skłonny był do uniesienia nawet zbytecznego. Lecz że najdoskonalszy zmysł krytyczny posiadał, uderzały go także wszelkie niedostatki i błędy. Nikt w ich wynalezieniu nie był trafniejszym, nikt w ich wykazaniu szczerzym. Nie był on z liczby tych krytyków, którzy żadnej wartości nie przyznają dziełu, skoro takowe nie z ich szkoły wyszło, lub w innym kierunku ducha powstało i przybrało odmienne formy, od tych jakie oni upodobali sobie. Ani też szedł za przykładem takich, którzy otwarcie i szczerze ani ganić ani chwalić nieumieją i bojąc się czyichkolwiek zdań obrazić, lękliwą pochwałą naganą zaprawiają, a cierpką naganą pochwałą osładzają. On jak w sądzie o czynach ludzkich, jawnie szacował i jawnie gardził, tak i utwory literackie sądził z równą otwartością i siłą przekonania. Że przed wszystkim umiłował prawdę,

więc i piękność ukochał, bo to jest tylko pięknem, co prawdziwym. Gdzie więc znajdował prawdę, piękność, szlachetność przywiązywał się i lubował. Pojmował że każdy duch poetyczny, ma przez siebie obraną sferę, w której się rozwija i porusza, której prawom ulega. Czyny więc jego, to jest utwory sądził podług praw tej sfery. Mógł większą lub mniejszą wartość prawodawstwu tego lub owego okręgu ducha przyznawać, ale każdego pracę podług jego właściwej ustawy oceniał. On, który udoskonalenie moralne uważał za cel życia i pojedynczego i zbiorowego, on, który ciągle ku ideałowi dążył, i dążność do niego i człowiekowi i narodowi wskazywał, pojmował, że tyle ceniona dzisiaj szkoła realizmu w sztukach pięknych, nie każdego wyobrażeniom tudzież usposobieniu odpowiada, i rozumiał, że mogą być i dziś jeszcze pisarze, którzy powołaniem poezji mienią podnoszenie ducha ludzkiego ku ideałowi, pod warunkiem nie uchybiania wiecznym prawom tego świata, i zgadzania się z naturą i prawdziwą potrzebą tego ducha. — Pojmował więc, że i dziś jeszcze powstawać mogą dzieła, w których dusza czysta, wspaniała, ku ideałowi dźwigniona, przyobleka się w równie wspaniałe kształty, dzieła przedstawiające się w postaci posagu widzom dzisiejszym nawykłym do fotograficznych obrazków.

Nie pytał on więc, czym jest utwór, czy Epopeją? czy poematem historycznym? czy żywotem wielkiego męża rymowanym? Ale co w nim jest? — Nie pytał, czy to jezioro? czy staw? ale jaka w nim woda, czy czysta? czy żywa? czy zdrowa? Pytał szczególnie czy to nie bagno? czy nie kałuża? Na ducha więc, którym dzieło tchnęło przed wszystkim zwracał uwagę, a gdy znalazł, że jest silnym, czerstwym, wzniosłym, że nie zatruty i trujący, ale zdrow i ozdabiający; przywiązywał się do rzeczy, i uważał za powinność tą miłością swoją, i innych serca zagrzewać. — Właśnie czerstwość i godność ducha, dążność ku ideałowi, wspaniałość i powaga form przez niechętnych nawet uznawana, obudziła w Zygmuncie żywe współczucie

*Jako był
północny
miejscem
Kochanicki*

dla pracy Kajetana Koźmiana*) i wyrozumiałym go uczyniła na wady i niedostatki, które w niej spostrzegał, a których nawet rady i uwagi jego usunąć zupełnie nie zdołały, bo one wypływały z wyobrażeń, nawyknień, przekonania literackiego autora. Skoro więc tylko poznał pierwsze części tworzącego się poematu, umiłował go, cieszył się nim, zachęcał sędziwego autora do wytrwania w pracy, wspierał go dobrem słowem.

Ze obciążony laty pisarz dokonał dzieła, to winien w znacznej części i ustnym przesyłanym do jego wiejskiej ustroni i piśmieniem pokrzepiającym naleganiom, młodszego od siebie, do nowego plemienia narodowych poetów należącego wieszcz.

Wdzięczny też starzec silniejszym jeszcze uczuciem ukochał go, pragnął go widzieć, błogosławił mu z daleka, i jemu poświęcenie dzieła swego, w razie gdyby takowe wyjść kiedy miało na widok publiczny, przeznaczał. Tę wolę nie raz wyrażał, tę chcąc syn po zgonie ojca spełnić, gdy przystąpił do wydania poematu, ofiarował go Zygmunтови, który ze swojej strony ofiarę przyjął.

*) Nie on sam przy poznaniu poematu *Stefan Czarniecki* tego wrażenia doświadczył. Przebaczyć raczą czytelnicy synowskiemu uczuciu, iż pozwolę sobie przytoczyć tutaj ustęp łaskawie mi udzielony, listu z Rzymu przy końcu roku zeszłego pisanego przez jednego z rodaków zamieszkujących w mieście wiecznym. Po przeczytaniu Czarnieckiego tak się on w pochlebnych zapewne ale bardzo pięknych wyraził słowach: „Zjawił się w świecie literacko-polskim nowy poemat pod tytułem: *Stefan Czarniecki* przez Kajetana Koźmiana z dedykacją do Zygmunta Krasieńskiego. Albo ja się wcale nie znam na wartości dzieł tego rodzaju, albo jest to najwspanialszy poemat polski, mogący stać obok najszytniejszych zagranicznych płodów. Jest to prawdziwy brylant naszej literatury, tak pod względem ducha, jak pod względem formy. Dzielny jak było dzielne nasze rycerstwo, poważny jak byli poważni niegdyś nasi ojcowie, szlachetny jak szlachetnym był i jest nasz naród, a przy tem czuły i rzetelny jak jest czuła i rzetelna polska dusza, ale czułością bohaterską, czułością serca bijącego pod pancerzem i pałającego cnotą, nie zaś tą rozpieszczoną miękkością dzisiejszych naszych poetów, upajającą tylko zmysły i wyobraźnię, a nie zdolną obudzić zapału do wielkich czynów i poświęceń. Nie takim jest poemat Koźmiana. Jest to głos męski, poważny, przenikający do głębi duszy, i taki jakimby przemówili do nas nasi wielcy ojcowie, gdyby dziś powstał z grobu. Trzeba było istotnie 80letniego starca, ażeby nam zaśpiewał pieśń taką, od jakiej już odwykły uszy nasze, trzeba było żeby Bard osiwiła wziął lutnię do ręki, opiewał nam sławę jednego z największych naszych bohaterów, bo młodzi wieszczowie nie byłiby w stanie podźwignąć tak wielkiego męża, podobnie jak dzisiejsze pokolenie nie jest w stanie podźwignąć zbioru rycerzy średnio-wiecznych. Doczekał się nareszcie Czarniecki godnego siebie śpiewaka, doczekała się i polska literatura wielkiego bohaterskiego poematu.”

mujać, dołączył żądanie, aby w przypisaniu wyrażone było błogosławieństwo starca. Zgodnie więc z tem pobożnem życzeniem wydawca następującą dedykację na czele dzieła umieścił: „Zygmuntowi Krasińskiemu 80letni autor z błogosławieństwem poświęcił.“ — A tak dwojaka wola spełnioną została i ofiarującego dzieło i przyjmującego ofiarę.

Tu jest miejsce wspomnienia o stosunkach, jakie łączyły Kajetana Koźmiana z Zygmuntem Krasińskim; pisarza, który w dawniejszych czasach i w zawodzie publicznym i w piśmiennictwie ojczystem niemałe zasługi położył, którego głos długo był słuchanym i cenionym, z wieszczem, którego obecnie naród rozumiał, ukochał, i czuciem się jego zagrzewał. Tu miejsce wskazać powinowactwo jakie mogło zachodzić między duchem starca, a duchem męża w całej pełni życia i natchnienia. Kajetan Koźmian jak o tem w Pamiętnikach swych wspomina jeszcze w pierwszych latach bieżącego stulecia poznał się był w Puławach z młodym podówczas Wincentym Krasińskim, lecz bliższej zażyłości i przyjaźni stosunki zawiązały się między nimi, dopiero gdy po ustanowieniu konstytucyjnego królestwa polskiego, Koźmian przybył do Warszawy do urzędowania powołany, a Wincenty Krasiński po przeprowadzeniu szeregów polskich z Francji na ojczystą ziemię, w nowej organizacyi wojska dowództwo gwardyi otrzymał, i w Warszawie zamieszkał. — Radość jaką przejmowało rodziców Zygmunta i przyjaciół domu spieszne jego rozwijanie się umysłowe, i zadziwiające zdolności podzielał także Kajetan Koźmian, i już go małym jeszcze będącego chłopięciem wielce miłował. Wróżby zaś o nim powzięte, wyraził w owym czasie w czterowerszu, umieszczonym pod wizerunkiem, wyobrażającym małego Zygmunta na szabli ojcowskiej siedzącego, i używającego jej wśród zabawy dziecinnej jako wierzchowca. — Napis ten brzmiał jak następuje:

Pogrom Trojan, a Greków walecznych nadzieja,
Wiesz czem się przed Ulysem zdradził syn Peleja;
Tak twój Zygmunt do zabaw szablę twą przyswoił,
I czego nikt nie dopiął — ojca z niej rozbroił.

Nie danem było Zygmunтови walczyć szablą od przodków odziedziczoną, lecz walczył orężem myśli i ducha, a zawsze świętym i szlachetnym. — Dalsze i ciągle postępy jego były tak znamiennie, że ledwie wyszedł z dziecinnego wieku już używał ustalonej sławy znakomitego i pełnego nadziei młodzieńca. Wszelako od roku 1828, w którym pierwszy jego wyjazd z kraju nastąpił, już go Kajetan Koźmian więcej nie ujrzał, ile że sam po r. 1831 schronił się do wiejskiej zaciszy, której aż do ostatniego dnia życia nie opuścił. — Ze zmianą okoliczności nie zerwały się jednak stosunki między Koźmianem a ojcem Zygmunta. Choć ten w znaczeniu pozostał, tamten zszedł z widowni krajowej nie wyrzekli się wzajem siebie dawni przyjaciele. Jenerał Krasinski kilkakrotnie odwiedzał Piotrowice miejsce zamieszkania autora Ziemiaństwa, utrzymywał z nim tygodniową korespondencję, udzielał mu wiadomości o synu, i do końca wiernej dochował mu przyjaźni, za którą niech mi będzie wolno złożyć wyraz wdzięczności na grobie dziś już zmarłego ojca Zygmunta. — Sława nadzwyczajnych zdolności poetycznych, i wzniosłości ducha autora Irydiona, dochodziła i do ustroni Kajetana Koźmiana, który radował się nią, i poklaskiwał jej. Gdy więc rozpoczynając w 62 roku życia wielkich rozmiarów poemat, który w 79 zakończył, a w którym wśród smutku owej epoki pokrzepienia szukał, dowiedział się w 1844 o przybyciu Zygmunta do kraju, powierzył synowi pierwsze pieśni wykończone dla przewiezienia ich do Warszawy i poddania pod sąd młodego wieszca. Do nader miłych wspomnień życia policzam pamięć tych chwil, w których w dobranem kole kilku przyjaciół, odczytywałem Zygmunтови przesłane mu pieśni, podczas gdy on z właściwą sobie porywającą wymową tłómaczył doznawane wrażenia, wytykał z rzadką bystrością krytyczną dostrzeżone wady i usterki tak w całych ustępach, jak w pojedynczych wierszach, i wyrażał zachęcające życzenie, aby dzieło rosło, wyrabiało się, i do końca doprowadzonym było. Tych to wrażeń wyraz przesłał on samemu autorowi po raz pierwszy, w liście pisanym r. 1844, i odtąd zawiązała się między śpiewakiem

Czarnieckiego, a twórcą Irydiona korespondencya, wśród której młodszy wieszcz zagrzewał ogniem pierś starszego pisarza, rosą ożywczych słów odświeżał jego pomysły poetyczne, i estetyczne wyobrażenia. Starszy pisarz tłumaczył się, zwierzał się z pojęć swoich o sztuce, wyznawał wytrwałość w wierze czy literackiej, czy w każdej innej. Mimo niejakie odcienia w tych lub owych zdaniach i wyobrażeniach, zrozumieli się, uczuli pociąg do siebie, tudzież szacunek wzajemny oba pisarze, i ów sędziwy, który przeszłość wyobrażał, i ów młodszy, który był teraźniejszości a może bardziej jeszcze przyszłości przedstawicielem. Zrozumieli się, bo spojnią ich dwóch duchów stanowiła zupełna zgoda w najgłębszych uczuciach, i w najświętszej wierze, bo w sferze moralnej nie wyznawali różnych zasad, odmiennego przekonania, bo oba wierzyli, że „najwyższą mądrością cnota.“ — że „nie grom ale srom na wieki zabija“, że „szabla tylko szlachetna, a nóż bezecny“, że „tylko silna wiara w zbawienie zbawieć zdolna“, że dla świętych celów należy

krew, życie, mienie oddać na ofiary,
Wszystko dla nich poświęcić, prócz cnoty, i wiary.

Otóż te wyobrażenia oba oddawali słowem; tylko młodszego słowo było ogniste, unoszące, pełne miłości i nadziei, starszego gorące także czuciem, ale nacechowane powagą lat, i smutkiem długiego doświadczenia. Starszy młodszego ogniem nie raz się zagrzewał i pokrzepiał; przygnębiony i wiekiem i nieszczęściami czasu, spostrzegając w sobie gasnięcie sił, ku niemu zwracał wejrzenie. Gdy w najboleśniejszym z pomiędzy boleśnych lat roku 1846, uczuł w duszy omdlenie i powątpiewanie, tak się do niego w liście z 7 września 1846 odzywał:

„Kochany i zawsze czuciem przyjaciela ceniony odemnie Zygmuncie! Ojciec twój stale na mnie łaskaw i przekonany o mojej starej przyjaźni, pierwszy i zaraz mi doniósł, o szczęśliwym urodzeniu się drugiego wnuka a twego syna. Chciałem bez zwłoki pospieszyć z powinszowaniem i życzeniem, aby ci się chował na pociechę w tych złych, a na przyszłość gorszych może

czasach. Niech będzie podobnym do ojca, a będzie miał przyjaźń i szacunek starych, miłość i poważanie rówieśników, cześć wszystkich, a to są nie małe pociechy, których nam jeszcze i jedynie używać się godzi. Smutkiem było dla mnie dowiedzieć się, że stargane zdrowie nie pozwala ci myśleć o powrocie do kraju, smutno i nader smutno nie spodziewać się uścisnąć cię, odetchnąć twoją radą, zagrzeć się twoim ogniem, pokrzepić się twoim smakiem i przyjacielską krytyką. — Miałem u siebie Morawskiego, korzystałem wiele z jego uwag, lecz to jeszcze nie dosyć. Zdaje mi się, że memu literackiemu utworowi czegoś niedostawać będzie, póki Zygmunt Krasiński nie powie „Dobrze.“ Nie uwierzysz jak mnie ostudziły ostatnie, okropne, wypadki galicyjskie, powiem nawet otrętwiły. *O miseri quos tanta insania.* Stan literatury, i młodych pisarzy wyobrażenia, i ta ciągła do przeszłości nienawiść, nie jest dla nas starszych zachęcająca. Widziemy, że nie masz dla nas potomności. Późne pokolenia nie rozumieją nas i odrzucają, jak teraźniejsze zbezczeszcza i szarpie. To co było nie wróci, to co jest zasmuca, to co będzie może, przeraża. Jedna Opatrzność zdolna z tego odmetu wyobrażeń, z tej anarchii umysłowej wyprowadzić jakiś porządek, jakąś spokojność, lecz już ani dla mnie, ani dla twego ojca. Smutno was będzie odumierać na tem morzu wzburzonych namiętności. W Bogu tylko nadzieja, że nie dopuści góry przewrotnych nauk uczniom.“ i t. d.

Zygmunt odpowiedział pokrzepiającemi słowy w liście, który czytelnicy pod nr. 4 znajdują. Starzec wrócił do pracy, a czując ile wśród wytrwania w niej, winien był radom i zachęcie młodego przyjaciela, chciał jawną wdzięczność swoją uczynić, chciał uwiecznić, i przystępując do ostatniej pieśni poematu, takim wstępem zamierzał ją otworzyć.

Dobijałem do brzegu i ręką omdlała,
Chwytałem się za lądy, pod rozbitów skałą,
Gdy mnie bohater woła „na wiry, odmety.“
A tu w piersiach bez tchnienia, gaśnie ogień święty;
Kto wesprze do nowego z burzami zapasu!
Zaświeć mi! zaświeć gwiazdo Polskiego Parnasu.

Ty cnotliwy! ty zacny! — ognisty Korwinie!
 Gdy płomień twego czucia, w piersi moje wpłynie,
 Ocknie się iskra siwym przysuta popiołem
 I dobiję do brzegu, ale z Tobą społem.

Spełniłeś w życiu mojem, spełniasz przy mym grobie,
 Co ojcu, co ojczyźnie wróżyłem o Tobie.
 W rozpoczętego dzieła krzepiłeś połowie
 Nie daj urwać się w słabej dłoni mdłej osnowie.
 Przeciagnij ją na pole następnych wawrzynów,
 Kres mych sił, nie jest kresem bohatera czynów:
 Maluj go na tych krwawych polach — a na których
 Wskrzesił sobą Zółkiewskich, Zamojskich, Batorych,
 Maluj jak buntownicze szyki w karność wprawił
 I w zbójcach Gąsiewskiego mściwy miecz zakrwawił.
 Maluj go z gromem w dłoni, w zbroi, czy w szkarłacie
 I na śmiertelnem łożu, w lichej kmiecia chacie,
 Gdy już ostatnie bicia serca czując w łonie,
 Żegnał się z ulubionym rumakiem przy zgonie.
 Czytać cię będą wszystkie Słowiańskie plemiona,
 I rym twój wróży wieszczu Sulmonu wykona.
 Płyn więc dalej — chwyć rudel, w swobodną prawicę,
 Gdzie ja niewolnik sztuki — zarzucam kotwicę.

Te słowa czci i wdzięczności przesłał autor Czarnieckiego Zygmunтови, lecz ten acz niemi do głębi duszy wzruszony, nie mniemał aby one znaleźć powinny były umieszczenie wśród dzieła, i zrzekając się ich, napisał ów arcy-śliczny list, któryśmy liczbą 6 oznaczyli. — Skłonił się do jego żądania śpiewak Stefana, i usunął ów wstęp, który był razem odpowiedzią na rady ustne Zygmunta, aby poemat Czarnieckiego nie kończył się na jego tryumfie, lecz przeciągnął się aż do owej chaty, w której bohater pokrzepiony ostatniemi łaskami świętej wiary, głaszcząc ulubionego konia, nieskazitelnego oddał Bogu ducha. Później po wypadkach lat 1848 i 49 Kajetan Koźmian dowiedziawszy się, że Zygmunt przybył do Warszawy i że niemocą fizyczną udręczony, przerażony obecnością, przygnębiony przewidywaniami przyszłości, uległ znękanui i omdleniu ducha, przemówił do niego w wierszach, które chcę tu dać poznać czytelnikom, gdyż takowe jeszcze dotąd drukowi powierzone nie były.

Nie chciej przenikłym dociekać wzrokiem
 Co przyszłość brzemienna zrodzi,
 Bóg ją okrywa ciemnym obłokiem
 Wdzierać się do niej nie godzi.

Choćbyś myśl lotną zatopił w niebie
 Z całym rozumu zarzewiem,

Wyczerpasz umysł, duszę i siebie
I wyrzec musisz — nic nie wiem.

Odwieczną świata tego ustawą,
Złe z dobrem idzie koleją,
Na co się próżno dręczyć obawą
Lepiej zasypiać z nadzieją.

Czyli ten wulkan co żarem tleje
Sam się w wnętrznościach wypali,
Czy świat pożerczą lawą zaleje,
Miej ufność — Bóg nas ocali.

Jużemy przeszli przez srogie kary
Cóż nas zatrwoży? zadziwi?
Na te huczące ogniem pieczary
Niechaj truchleją szczęśliwi.

Orzeł co wierchy dębów dziedziczy
Nie złata z swego siedliska,
Czy nań poziomy gad żądłem syczy
Czy Niebo gromami błyska.

Toczy robactwo dąb u korzenia,
Bo kiedy na ziemię runie
Glista, co czołga się z przyrodzenia
Na wierch się dębu wysunie.

Ognisty wieszczu! wśród rymopisy
Weź lutnię i uderz w strony.
Przy twojej stopie usną tygrysy,
Żądła utracą Pitony.

Ty jesteś światłem Sarmackiej ziemi,
Jak słońce z gór ciągnij rosy,
I już mdlejące ożywiaj niemi
Rośliny, kwiaty, i kłosa.

Zwracaj na bagna palące zary,
Gdzie sprosne gady jad piją,
Bo z nich wschodzące ciemne mgły pary,
Blask dzienny zmrokiem zakryją.

W przestrzeni złudzeń, serc nie nasycim
Obłęd nas tylko upoi,
Ścigamy marę, której nieschwycim
A szczęście obok nas stoi.

Dla Ciebie postać wzięło anioła,
Przyniosło z nieba dwa kwiatki,
Splataj z nich wieniec dla dziada czoła
Wraz z czuciem ojca i matki.

Niech dla nich ręka ojcowska zbiera
W przeszłości wróżby zawodu.
Orsza — Bar — Wiedeń — Samosiera
Piękneż to pamiątki rodu.

Co przeszłość trzyma pod swoją strażą
To trwa — to wiecznie nie zginie
Co było żadne wieki nie zmażą,
Co dziś jest — ufaj — przeminie.

Jeśli w krzyżku ósmym niestety!
Przyszła mi rymów myśl płocha,
Śmieć się — lecz przebacź wiersz rymoklety,
Który cię wielbi i kocha.

Na ten wiersz odpowiedział Zygmunt listem liczbą 7 naznaczonym, a potem owemi pięknymi strofami: „Czemu Mistrzu masz siwiznę“, które już drukiem zbiorowe pismo *Pokłosie* przed laty kilku ogłosiło, i które czytelnicy w liście ósmym znajdują. Na te strofy ośmdziesięcioletni pisarz odpowiedź przesłał w wierszu już także publiczności znanym, lecz który tu jej przypomniemy.

Wyniosły wieszczu! w męczeńskiej koronie,
Iskrę twych ogni wrzuciłeś daremnie
Pruchno i popiół znalazła w mem łonie,
Ledwie zatlała już zagasła we mnie.

Los i cierpienia wspólne nam są obu,
Gdy cios morderczy wydarł matce życie,
Ja płaczę jak syn schylony do grobu,
Ty jak od piersi oderwane dziecko.

Choć mu pokarmu obca pierś nie skąpi
Odwraca usta jakby od trucizny,
Cóż nektar matki dziecięciu zastąpi,
Więdnie bez niego — jak ty bez ojczyzny.

Ach krzep się! duszy niech cię wspiera siła
Osierocony nie jesteś sierotą,
Ostatnie dziecko co matka powiła,
Jest starszych braci pieszczotą.

Jego kwilenie rzewne przypomina,
Boleśnej straty ostatki,
Tem większy urok czerpa w niem rodzina
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu z twych trenów smutku i żałości
Niech uzna Polska i potomność cała,
Jakiej ta matka godna jest miłości
Co takich synów wydała.

W tem zwierzaniu wzajemnem jednego i tego samego uczucia ze strony męża w całej dojrzałości wieku i natchnienia, i starca już nad grobem stojącego, i w tem wzajemnem pokrzepianiu się, jest coś wielce rzewnego i zasługującego na poszanowanie.

Choroba, która coraz bardziej srożyła, rozmaite przybierając postaci, zmusiła Zygmunta do oddalenia się z kraju w roku 1850. — Wrócił wprawdzie jeszcze do Warszawy w roku 1852, lecz niemocą uwięziony w domu, nie mógł spełnić obietnicy odwiedzenia sędziwego przyjaciela. A tak niebo nie dozwoliło starcowi upragnionej od niego pociechy powitania pod swym dachem tego,

którego tak serdecznie czcił i ukochał. — W roku 1856 Kajetan Koźmian przeżywszy lat 85 zszedł do grobu. Zgon jego boleśnie dotknął Zygmunta. Wyraz żalu rzewny, wymowny, przesłał do mnie w liście, który pozwałam sobie przytoczyć pod liczbą 9, bo z niego czytający pozna, jakie to zacne i czułe na boleść innych serce, biło w ukochanym naszym wieszczu. Żal u niego po tych, których ukochał przemieniał się w tkliwe, niezgasłe niejako religijne wspomnienie. Po sędziwym przyjacielu zachował kilka jego srebrzystych włosów, które między najdroższymi pamiątkami umieścił, i na sobie nosił obwinięte w odcinek jednego z listów starca, gdzie były te wyrazy „Błogosławię Ciebie i pociechy twoje ośmdziesięcioletnią ręką i błogosławić będę „przy niedalekim zgonie.“ — W tym zaś 9tym liście, o którym wspomniałem, słyszy się jakby dźwięk przecucia owej boleści synowskiej, która i jego w półtrzecia roku później dotknąć miała. Byłem ja świadkiem i uczestnikiem tej boleści, widziałem jak u dotkniętego śmiertelną niemocą trawiła sił ostatki i przyspieszyła koniec. Opowiedziałem już koniec ten, ostatnie chwile które go poprzedziły, i opowiadanie to w kwietniowym *Dodatku do Czasu* umieszczenie znalazło. Powtarzać go tu nie będę, lecz dla zachowania zebranych dotąd drogich wspomnień, o tyle dokładny o ile możność dozwala, podać dziś chcę obraz podniosłego żywota Zygmunta, który choć odszedł od nas, w dziełach swoich i w pamięci ziomków, nigdy na Ziemi Polskiej żyć nie przestanie.

Życiorys Zygmunta Krasińskiego.

Sąd społeczny o ludziach znakomitych w narodzie, nie zawsze bywa zupełnym i ostatecznym. Życiorysy wkrótce po ich zgonie kreślone, nigdy nie przedstawiają wszystkich stron; bo albo są prostem echem świeżego i żywego żalu, albo odbijają niechęć i uprzedzenia, które często przeciw najprzedniejszemu mężom w kraju, za ich żywota powstały. Zresztą nie wszystko, zwłaszcza w pewnych epokach o każdym zmarłym po-

wiedzieć głośno można, nie wszystkie jego czyny i zasługi wykazać, nie z wszystkich osłon duszę jego obnażyć. Kiedy więc w tym obrazie wkrótce po zgonie wykonanym, wszystkich rysów podobieństwa uchwycić nie podobna, właściwiej może byłoby wstrzymać się od niego. A przecież świadectwo współczesnych, świadectwo przyjaciół, towarzyszków, wielbicieli zmarłego nie jest bez wartości, i jeżeli nie całą i zupełną prawdę, to zawsze szacowny historyczny materiał późniejszemu biografowi przynosi.

Mało znaleźć można ludzi znakomitych duchem, wiarą i cnotą, jaśniejących, słowem godnych czci powszechnej, którzyby czyny, zasługi, cały swój żywot, równie starannie jak Zygmunt Krasiński w cieniu ukrywali. Zarazem mało takich którychby pamięć mogła śmielej wyzywać blask słoneczny, aby ją oświecił i wszystkim oczom widoczną uczynił. A przecież nie przyszedł jeszcze, i nie zaraz przyjdzie czas, kiedy będzie można życie jego, zasługi, całą jego duszę w zupełnej prawdzie i jasności wykazać. Odbijają się one jakby w czystym zwierciadle w pismach po nim pozostałych. Zresztą zachowują ich dowody, pamięć i zebrane opisy przyjaciół, towarzyszków jego, na tej ziemi jeszcze zostawionych. Jeden z nich zasłużony w piśmiennictwie ojczystem, najdawniejszy towarzysz szkolny Zygmunta, wierny całego życia przyjaciel, powiernik jego najskrytszych myśli i uczuć*) uznał za obowiązek zacnego serca spisanie Pamiętnika o nim, który dopiero kiedyś, nie prędko będzie mógł być ogłoszonym. Podiał on już tę pracę, która mu niejaka ulgę i pociechę w głębokim jego zasmuceniu przynosi. Takiej samej ulgi i ja dziś szukam przystępując do opowiedzenia żywotu ukochanego zmarłego, nie zrażając się tem przekonaniem że opowiadanie moje niedostatecznem będzie. Chcę więc wszystko co sam o nim zapamiętam, com z ust jego rodziny i przyjaciół usłyszał zebrać tutaj i rodakom podać, wszystko to, co dziś podanem być może. Nie przedsięwzięję ocenić go jako pisarza i wieszczą, wstrzymuję się od rozbioru a nawet od wymienienia

*) Konstanty Gaszyński.

utworów, które mu głos publiczny przyznawał, i w których objawów ducha jego ziomkowie poszukiwali, lecz prostemi słowy spiszę ciąg wydarzeń życia jego, ciąg nieprzerwany boleści fizycznych i moralnych, i przygotuję, niemylnie bodaj i nie do odrzucenia dla przyszłego życiopisarza wskazówki i wiadomości. Tego rodzaju tylko pracą można dziś uczcić pamięć Zygmunta, później przyjdzie rzeźbiarz, który mu niepożyty pomnik grobowy z marmuru wykuje.

Kiedy w roku 1806 bohater wieku, potężny władca Francji, zbliżał się ku ziemi Wielkopolskiej, wódz legionów polskich generał Dąbrowski, wraz z ognistym miłośnikiem ojczyzny Józefem Wybickim rozesłał do znakomitszych rodaków ułożone w imieniu Napoleona w silnych wyrazach wezwanie, ażeby się pod jego sztandarem kupili, ofiary życia i majątku nieśli, i zbrojną piersią zwycięzcę otoczyli.

Odezwa taka doszła także Wincentego Krasńskiego starosty opinogórskiego, który w owym czasie zaledwie lat 24 liczył. Na głos jej pospieszył młodzieniec do Poznania i był jednym z pierwszych, którzy cesarza na ziemi polskiej powitali. Młody, celujący urodą, umysłu żywego, noszący nazwisko rodu, którego zasługi krajowe Napoleon z czytania Rhuiera był poznał, umiał się mu podobać i względy jego pozyskać. Umieszczony przy jego boku, został następnie mianowany dowódcą pułku cesarskiej gwardii Szwoleżerów (Chevaux legers) z Polaków złożonej, a tak bądź we Francji w krótkich przerwach pokoju, bądź w czasie wojny za jej granicami, straż osoby cesarza z pułkiem swoim trzymał. Pułk ten jak wiadomo, szczególnie w Hiszpanii nieśmiertelną okrył się sławą, a dowódca jego rósł we wziętości i przychylności u wielkiego wojownika. W bardzo młodym wieku wszedł był Krasński w związki małżeńskie z Maryą księżniczką Radziwiłłówną, równie znakomitą rodem, dostatkami, jak celującą umysłem i charakterem. Zamieszkawszy stolicę Francji, gdzie jej małżonek wśród pokoju z pułkiem przebywał, po kilkoletnim zamęściu, wydała ona na świat na dniu 19 lutego r. 1812 syna,

który na chrzcie otrzymał imiona Napoleon Zygmunt. Nasz więc Zygmunt urodził się w Paryżu w domu już dawno zniesionym, w miejscu gdzie się znajduje dzisiaj tak nazwany *Passage Jouffroy*. W tym właśnie czasie cesarz Francuzów przygotowywał ową olbrzymią przeciw Rosyi wyprawę, w której najprzód sprzysiężone żywioły, potem powstałe przeciw niemu króle i narody złączyły się na obalenie jego potęgi. Pułk Jenerała Krasińskiego zajmował zimowe kwatery w Chantilly. Skoro tylko małżonka jego do sił wróciła, przeniosła się z Paryża do miejsca pobytu męża. Urodzenie pierworodnego syna pólkownika powitał radośnie pułk cały, który swego dowódcę otaczał miłością i zaufaniem. Drobne niemowle stało się ulubionem pułku dziecięciem, i nieraz wiarusy okryci bliznami i zaszczytnemi oznakami męstwa, brali go na ręce, pieścili się z nim i bawili, a tak mały Zygmunt w pierwszych godzinach życia widział się nianczonym na rękach wojowników, którzy za kraj swój pod sztandarami wielkiego bohatera walczyli. Dziecięcą pamięcią nie zapamiętał Zygmunt ani osoby Napoleona, ani dni jego chwały i potęgi. Zaledwie lat dwa liczył gdy grom po gromie bijąc roztrzaskał tron cesarski, i gdy w rok 1814 w Fontainebleau składając koronę zwalczony wojownik, resztki wojska polskiego powierzał dowództwu jenerała Krasińskiego chlubnym dla tegoż wojska zaszczycając go listem. Cesarz Alexander, który zbrojną siłą zajął był księstwo warszawskie, który zresztą przychylne i wspianiałe dla Polski objawiał zamiary i Polaków przygarniał do siebie, potwierdził go w tem dowództwie. Jenerał Krasiński przeprowadził więc z Francyi na ziemię ojczystą pozostałych z tylu morderczych bitew żołnierzy polskich. Wkrótce za nim i jego małżonka z trzyletnim Zygmuntem pospieszyła do Warszawy, i wtenczas to poraz pierwszy pierś jego powietrzem polskiem odetchnawszy, wciągnęła z niem w siebie tę miłość kraju, która jakby nieoddzielną tego powietrza cząstkę i pierwiastek stanowi.

Pod okiem najczulszej lecz często na zdrowiu upadającej matki, rósł mały Zygmunt i dziecięcą pięknoscia, którą promienie

nadzwyczajnego i nad wiek rozwijającego się pojęcia rozświecały przywabiał i zadziwiał. Był on jako dziecko uroczym, włosy jasne zwijały mu się w pierścienie, a żywość i ogień czarnego oka wykrywały wszystko, co umysł i dusza dziecięcia w zarodzie mieściły. I w istocie, nie tylko okazywał się pojętnym, dowcipnym, szybkim i zręcznym w odpowiedziach, ale od najpierwszych lat życia już dawał widzieć szlachetność — jakąś rycerskość natury, czułość i gorącość serca. Kochał rodziców z całą siłą, jakiej wiek jego był zdolny, lecz kochał matkę z pewnej delikatności uczuciem, która raczej miłość córek jak synów cechuje. Gdy czasem zapadł na zdrowiu, a matka jego sama często cierpieniem złożona, pielęgnować go nie mogła, powierzała go pieczy księżny Alexandrowej Sapieżyny, z którą ścisła łączyła ją przyjaźń. Otóż gdy ta pytała małego, czy go co boli? — odpowiadał cichym głosem czteroletni chłopczyk „Bardzo mnie boli, ale matce mówcie że nie boli, bo ona i tak cierpi.“ Jedyna córka tejże księżny, księżniczka Anna lubiła się z nim bawić, silnie więc ją polubił i powtarzał, że z nikim innym tylko z nią się ożeni. Gdy się wkrótce dowiedział że księżniczka zaręczona, i że niebawem wejdzie w śluby małżeńskie, zasmucił się, zapłakał nawet, a gdy go pocieszać chciano twierdząc, że później podobną jej żonę znajdzie, zaledwie lat pięć podówczas licząc, odpowiedział z zapałem „O nie! drugiej Anny być nie „może na ziemi, tak jak dwóch słońc na niebie niema.“ Jeden z gości jego rodziców sprzeciwiając mu się, ulicznikiem, małym hultajkiem i tym podobnymi wyrazami żartobliwie go mianował; obrażony mały Zygmuntek przybiegł z zażaleniem do matki. „A cóżeś mu odpowiedział?“ zapytała matka. „Zamilkłem“ dorzekł „bom nie chciał być grubianinem.“ Gdy cesarz Alexander przybył do Warszawy, słysząc wiele o nadzwyczajnej bystrości umysłu Zygmunta, że okazywał stale rodzicom jego łaskawe względy, oświadczył chęć zobaczenia go. Gdy mu go przedstawiono wziął go na kolana, rozmawiał z nim, a potem zażądał aby mu wiersze jakie powiedział, których on wielką liczbę na pamięć

umiał i z wielkim zapalem deklamował. Nie zmięszało się dziecietem żądaniem, i zaczęło z ogniem, śmiało patrząc w oczy samowładzcy Rossyi, mówić ustęp z śmierci Cezara Voltaira zaczynający się od słów „Tu dors Brutus.“ W roku 1819 zwiedziła po raz pierwszy Warszawę cesarzowa wdowa. Przyjmowano wszędzie ze czcią i uszanowaniem matkę monarchy, który w części wskrzeszał byt narodowy Polaków, i na którego obietnicach i przychylności usposobienia dalsze ich i świetniejsze spoczywały nadzieje. Cesarzowa łaskawie przyjmując te oznaki zwiedzała w stolicy wszystkie główne gmachy, kościoły, zakłady dobroczynne i naukowe, biblioteki, zbiory, teatr narodowy, na którym ją sławny komik Zółkowski w *szkodzie wosów* wielce zabawił, nadto szkoły liceum i uniwersytet. Z owego czasu uczniowie liceum warszawskiego pamiętamy jej odwiedziny i mowy we francuzkim języku, któremi ją wybrani młodzieńcy witali. Otóż cesarzowa chciała także i siedmioletniego Zygmunta widzieć. Po długiej z nim rozmowie, wśród której uprzejmością i trafnością odpowiedzi zadziwiał ją i zabawiał, rzekła do niego „Mianuję cię moim rycerzem (mon Chevalier), czy chcesz nim być, i bronić mnie przeciw nieprzyjaciółom moim?“ „Nie chcę“ odrzekł mały rycerz prawdziwie rycerski, a razem zręczny „bo najjaśniejsza pani nie potrzebuje obrońców, nie mogąc mieć nieprzyjaciół.“ Przytoczyłem te zachowane w pamięci jego dziecięce odpowiedzi, aby dać poznać jaką żywość i bystrość dowcipu okazywał Zygmunt małym jeszcze będąc chłopczykiem. Przynosił on już zawczasu pochlebne wróżby na przyszłość, tak jak na wiosnę zboże wśród trawy, szerokimi i ciemnymi liśćmi zapowiada na lato, kłosa z obfitością ziarna.

Lecz zwykle owe dzieci nadzwyczajne, zdumiewające wczesnem pojęciem, dowcipem, pamięcią, nie spełniają w dalszem życiu obietnic dziecinnego wieku. Zawczasem i zbyt prędko wybijawszy, nie dosięgają później wysokości do których zdawały się przeznaczonemi. Nie jeden Pik de la Mirandole w dzieciństwie, staje się następnie pospolitym człowiekiem. Nie tak stało się

z Zygmuntem. On wszystkie wróżby spełnił, on dotrzymał więcej niżeli przyrzekł; jeżeli bowiem objawił wszelkie przymioty najcenniejsze i umysłu i serca, nie okazywał będąc dzieckiem ducha poetycznego, skłonności do składania wierszy i do wieszczczenia. Straż nad nim gdy był dziecięciem, aż do 7 roku, powierzona miała pod okiem rodziców baronowa La Haye, należąca do szlachejnej rodziny francuskiej, emigrantka z czasów rewolucyi. Przywiązała się ona do niego miłością macierzyńską, i z takąż pieczołowitością nim się opiekowała. Gdy Zygmunt przeszedł pod straż mężką, baronowa La Haye podjęła się opieki nad drugim dziecięciem, w tym właśnie czasie osieroconem po zgonie matki, a które równie bystrem zdumiewało pojęciem, równie świetne na przyszłość zwiastowało wróżby umysłowe. Dziecięciem tem był August Cieszkowski. Ztąd też początek przyjaźni między Zygmuntem a Augustem. W poranku życia zawiązana, ustaliła się w młodzieńczym wieku, dojrzała w mężkim, tak że te dwa szlachetne serca jednym tętnem odtąd nieraz biły, te dwa duchy że tak powiem bliźniemi się stały. Pierwszym nauczycielem i mistrzem Zygmunta był Józef Korzeniowski, znakomity i wsławiony w obecnej epoce pisarz, który po krótkim pobycie w domu generała Krasieńskiego, przeniósł się do Krzemieńca, będąc na katedrę nauczycielską powołanym. Miejsce jego zajął Jakubowski, a po nim Chlebowski, i ten dokonał przygotowania młodego Zygmunta do najwyższej klasy w liceum. Nie cudzoziemców więc, ani obcych mistrzów straży ojciec go powierzył, lecz polskich nadał mu przewodników, do ukształcenia umysłowego w różnych gałęziach nauk, dobierając najcenniejszych nauczycieli ze szkół i uniwersytetu warszawskiego. Niezwykłym pojęciem, pamięcią bez granic, żądzą nauki obdarzony młody uczeń zadziwiał nadzwyczajnymi postępami i żadnemu z rówieśników prześcignąć się w nich nie dał. Lecz im więcej komu dane, tem więcej żądaniem jest od niego, podług słów ewangelicznych. Przeto więcej jeszcze, za nadto może, wymagali od niego jego kierownicy, i wspomnieć z boleścią należy, że nie

zawsze znalazł w nich łagodność, cierpliwość, wyrozumiałość, które jedynie są zdolne ustalić ufność i przywiązanie między uczniem a nauczycielem. Nieraz on od swoich doznał surowego obejścia się, a tak pamięć porannych dni jego życia obciążały nie miłe wspomnienia. Niebrakowało mu i wspomnień bardzo bolesnych; bo zaledwie przeszedł z pod pieczy kobiecej pod straż mężką, doznał pierwszego głębokiego smutku, który na duszy jego niezatarte zostawił ślady. Matka jego piersiową dotknięta chorobą po długich cierpieniach w roku 1822 zakończyła życie. Podobało się Bogu w jego dziecinnym wieku odebrać mu tę, która i umysłem, i sercem, i znakomitością charakteru, byłaby była najzdolniejszą stać się jego przewodniczką, wnikać w rozwijającego się ducha jego, osiąść zupełną jego ufność. Ojciec jego uderzony tym dotkliwym ciosem, przez rok prawie cały odosobnił się od świata, oddał się cały niepocieszonemu smutkowi i jedynych pociech w miłości dla jedynego syna poszukując, otoczył go podwojoną pieczołowitością, tak że stał mu się ojcem i matką. Jednakże obowiązki publiczne i dowództwo wojskowe jakie sprawował, nie dozwalały generałowi Krasińskiemu codziennej i ciągłej rozciągać baczości, nad trybem zaprowadzonym w wychowaniu syna przez tych, których straży go powierzył. Zygmunt zaś już wtenczas miał zanadto godności i wzniosłości w charakterze, ażeby zażaleniami i skargami obwinał przed ojcem swych nauczycieli. Wspominam tę okoliczność, dla wskazania, że początkowe dni jego młodości, zwykle w życiu każdego najswobodniejsze, nie raz bolesne uczucie doznanej niesprawiedliwości zasmucało, i że ta nawet pierwsza pora jego żywota nie przeszła bez cierpienia. Lecz na naturę tak od Boga uposażoną i uszlachetnioną nie wywierało złego wpływu niewłaściwe z nią postępowanie. Zkądinąd jak sam Zygmunt lubił opowiadać, i jak nad tem rozszerzył się w ostatniem, przedśmiertnem piśmie, w którym skreślił życiorys ojcowski, do połowy doprowadzony, ojciec jego po zgonie małżonki, nieraz długie poświęcał mu godziny. Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam opowiadał mu dzieje

ojczyste, pamiętki własnego rodu, tam wpajał w umysł jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, w serce uczucia, jakimi tchnąć powinien mieszkaniec ziemi polskiej, tam kazał sobie przyrzekać, przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wiernym pozostanie. Dotrzymał tej synowskiej przysięgi Zygmunt i nigdy nie zboczył z drogi, którą mu w ówczas ręka ojcowska wskazywała. Spiesznie się też umysł młodzieńca zbogacał i charakter kształcił. Poimnę sam, iż byłem przytomny na egzaminie, który on licząc zaledwie lat dwanaście w domu ojcowskim składał. Sprosił na tę uroczystość ojciec najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych w stolicy przebywających, najcelniejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi, obfitością zaczerpniętej nauki. Postępy jego zwłaszcza w językach, w literaturze, w historii i jeografii starożytnych, przeszły wszelkie oczekiwanie. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radośny i dla syna, i dla ojca, i dla przyjaciół jego. W tem miejscu poświęcę słów kilka opisowi domu generała Krasińskiego, towarzystwu jakie się w nim zbierało, a wróciwszy do opowiadania o Zygmuncie wspomnę, o ile to towarzystwo wpłynęło na jego usposobienie i rozwinięcie literackie i poetyczne. Dom generała Krasińskiego od roku 1815 do 1827 był w stolicy jednym z najprzyjemniejszych i najchętniej uczęszczanych, był jako społeczeństwo męskie i literackie jedynym. Gospodarz zasłużony w zawodzie wojskowym, z nabytem znaczeniem i wziętością, łączył z żywością dowcipu zamiłowanie nauk i literatury; wesoły gościnny, serdeczny, przyciągał i ujmował. Długie przebywanie za krajem i ogłada dworska nie wyzuła go z przymiotów, nawyknień i obyczajów narodowych. Staropolska gościnność otworem drzwi trzymająca, a która się czasem w nieład domowy przemieniała, serdeczna i wyłączeń niedopuszczająca uprzejmość, jednająca życzliwość gospodarzowi, ściągająca do jego domu osoby różnego wieku, położenia, usposobienia i stanu. Zbierali się w nim i najzasłużeńsi w kraju mężowie, i najznakomitsi owego

czasu uczeni i literaci i początkujący pisarze, i dawni towarzysze broni i pracownicy w dziedzinie sztuk pięknych i najcelniejsi artyści dramatyczni. Za życia żony zwykł był spraszać generała na ranne śniadania, i na nich to nieraz zabawiał gości dowcipem i niewyczerpaną żartobliwością Aloizy Zólkowski, który wraz z Ludwikiem Dmuszewskim i Bonawenturą Kudliczem częstym był generała współbiesiadnikiem. Później nastaly częste literackie zebrania, a następnie sobotnie obiady po prelekcji literatury powszechnej Ludwika Osieńskiego, którą on w ten dzień w uniwersytecie warszawskim wykladał. Uczęszczający do domu generała goście znajdowali zawsze życzliwe przyjęcie, wesołość, zupełną swobodę, wiadomości dnia każdego, dzienniki krajowe i zagraniczne, wszelkie nowo wyszłe dzieła ojczyste i godniejsze uwagi zagraniczne. Tam przy stole obiadowym lub w popołudniowych godzinach, przy dymie fajek (cygar palenie nie było jeszcze weszło w zwyczaj, i sam tylko gospodarz zwykł był ich używać) toczyły się rozmowy i rozprawy uczone czy żartobliwe, literackie, polityczne lub naukowe.

Chociaż rzeczywistość nie odpowiadała powziętym nadziejom i nieraz słuszne dawały się słyszeć skargi; przecież gdy za życia cesarza Alexandra wielu ufało jego wspaniałym przyrzeczeniom, obecność jako drogi zaród pomyślniejszej przyszłości uważając, gdy kraj dźwigał się materyalnie, młodzież w szkołach narodowych kształciła się, a w zawodzie czy wojskowym czy cywilnym zapewniony miała stan, zajęcie i możność stawiania się użyteczną, gdy nakoniec czy na posadach rządowych, czy w reprezentacji krajowej, czy w radach wojewódzkich, znajdowali obywatele życie publiczne, godziło się jeszcze wówczas folgować niekiedy wesołości i swoboda nieraz zebraniom poufałym przewodniczyła. Najczęstszymi gośćmi generała Krasińskiego bywali: biskupi Wronicz i Prażmowski, Julian Ursyn Niemcewicz, Ludwik Osieński, Jan hrabia Tarnowski, generał Franciszek Morawski, Kajetan Koźmian, Kazimierz Brodziński, Kwiatkowski Franciszek, Salezy Dmóchowski, Brunon Kiciński, Kownacki, Józef Mieroszewski,

Franciszek Grzymała, Waleryan Krasiński; z uczonych i nauczycieli: Joachim Lelewel, Samuel Bogumił Linde, Ciampi, Bentkowski, Schubert, Vogel. Tam młodzi pisarze wstęp i zachętę znajdowali, Odyniec mianowicie, Dominik Lisiecki, Tymon Zaborowski, Goddebski; tam Konstanty Gaszyński współtowarzysz szkolny i przyjaciel Zygmunta z pierwszemi próbami literackich zdolności występował. I z innych prowincyi Polski przybywający literaci, pisarze, byli pewni ujmującego przyjęcia, na przykład pożądaný gość z Wołynia Gustaw Olizar który dowcipem swoim powiększał wesołość przyjaznego koła. W domu to jenerała Krasińskiego ukazał się i dał poznać stolicy, wołyński namiętny rymokleta Kajetan Jaxa Marcinkowski, wprowadzony przez Jana Tarnowskiego, z którym poznał się w Porycku u wuja jego Tadeusza Czackiego. Przybył on do Warszawy z głębokiem przekonaniem o swym darze poetycznym, z nadzieją wziętości, sławy, i z nowo wydany poematem pod tytułem *Gorset*. Marcinkowski był najlepszego serca, wypróbowanej uczciwości człowiekiem; niedostatek, który go uciskał, nigdy go nie popchnął na drogę znikczemnienia i podłości; lecz namiętność wierszowania, która nad wszystkiemi jego skłonnościami górowała, także niesłychana przy braku zdolności i nauki próżność literacka, tudzież zarozumiałość, uczyniły go pośmiewiskiem grona literackiego zbierającego się u jenerała Krasińskiego. Żarty jakich sobie z nim dozwalało, a do których on niejako i śmiesznościami swemi i zamiłowaniem w tem żartującym z niego towarzystwie upoważniał, za daleko czasem posuwano, to prawda. Dał on do nich pierwszy powód, gdy przeczytawszy satyrę bezimiennie przez Franciszka Morawskiego pod tytułem *Nowy Parnas* napisaną, satyrę w której poeta dowcipem karmił ówczesnych wierszokletów, rozgniewał się za tę krótką o sobie wzmiankę:

Pędzi z wołyńskich krain Marcinkowski dzielny.

Epitet dzielny niezmiernie mu się nie podobał. Dla czego dzielny? Co we mnie dzielnego? mówił z oburzeniem. Nadaremnie starano mu się wytłómaczyć, że w tym przymiotniku

niema nic obrażającego, dąsał się i unosił. Obudziła się więc wesołość tych, którzy byli świadkami tego zabawnego gniewu, sypnęły się gradem zewsząd różne żartobliwe wiersze Morawskiego, Koźmiana i Mieroszewskiego, także Olizara podróż na Parnas i poemat mitologiczny, którego Jaxa był bohaterem. Wszystkie te wiersze wydrukowano w drukarni, którą generał Krasiński w domu posiadał. Następnie i młodzi wystąpili z rymami przeciw Jaxie, Lisiecki z balladą o Ordynackiem, Gaszyński z Jaxiadą, Godebski z różnemi satyrycznemi ucinkami. Marcinkowski gniewał się, odcinał, odpowiadał prozą i wierszem, sto razy przysięgał, że więcej nie wróci do domu generała i sto razy wracał coraz śmieszniejszym się stając. Nie było też figlów, psikusów, którychby się z nim nie dopuszczano. Raz w drugi dzień świąt wielkanocnych, a więc w dzień śmigusu, gdy Jaxa po suchych poprzedniego dnia święconych spoczywał jak najspokojniej, namówiony służący otwiera okno, i wraz sikawka na dziedziniec sprowadzona, potokami wody pokój zalewa. Przebudzony Jaxa zrywa się, chwyta złożone na stole pod oknem rękopisma swoje i ratując je z ojcowskiem poświęceniem, sam zmoczony, jakby z wanny wyskoczył, ucieka z zalanego pokoju. Innego razu przynoszą wśród obiadu na stół generała, ogromnego szczupaka, który był jedną z ulubionych potraw Marcinkowskiego; ofiarują mu część z głowy; w tem gdy Jaxa kraje głowę szczupaczą, znajduje w niej jeden ze swoich utworów nowo wydanych. Twierdził Marcinkowski, że doskonale posiadał język łaciński, dla wypróbowania jego znajomości mowy klasycznej, dano mu do przetłómaczenia jedną z ód Horacyusza, w której poeta wspomina, że cnota starego Katona (*prisci Catonis*) nie raz zagrzewała się winem. Wyraz *prisci* nieznanym tłumaczowi w wielki kłopot go wprawił, chciał więc zręcznie dojść jego znaczenia, bez szukania w dykcyonarzu. Nasunięto mu myśl, że Kato lubiąc wino, twarz przyszczami miał zeszpeconą, uchwycił się jej Jaxa i wyrazy *prisci Catonis* przetłómaczył *opryszczzonego Katona*. Lecz wieleby stronnie zapisać trzeba chcąc wyliczyć wszystkie żarty, których Marcin-

kowski stawał się ofiarą. Czasem odpierał je ostrem, a nawet zabawnem słowem, i tak na przykład gdy raz generał Krasiński zapraszał go na obiad, odpowiedział: „dobrze, stawię się, ale jako gość, „nie jako potrawa.“ Te harce z nieszczęśliwym wierszopisem trwały lat kilka; w końcu Jaxa zmuszony niedostatkiem przyrzekł, że więcej wierszy pisać a przynajmniej wydawać nie będzie i otrzymał w wydziale wychowania publicznego miejsce kuratora szkół w Płocku. Nie przeczę, że z Jaxą przekraczano często granice dozwolonej żartobliwości, przyznam nawet, że zjawiało się, zwłaszcza w późniejszym czasie, wielu pisarzy lichszych od niego, a szczególnie ciemniejszych i niezrozumialszych, których przecież wychwalano, podziwiano nawet; lecz twierdzić jak na to odważył się jeden z historyków literatury polskiej za genialnego ogłoszony, że Marcinkowski lepsze wiersze pisał, niż ci wszyscy pisarze, którzy się z niego wyśmiewali, jest to dopuścić się większej śmieszności ze niepowień niedorzeczności od tych, jakimi sam Jaxa zasłynął. W domu jen. Krasińskiego, objawił się także towarzystwu stołecznemu, Stanisław hr. Męciński, sławny ze sprawy wytoczonej Paulinom Częstochowskim, o skarby przez jednego z jego przodków, podczas wojny szwedzkiej, na składzie zostawione. Męciński znany z dowcipu, powagi arystokratycznej jaką sobie nadawał, ze śmiałości w mowie i postępach, nieraz zapuszczał się z generałem w żwawy i zabawny spór o dawność i znakomitość rodu Krasińskich i Męcińskich; więc znosił swoje pargaminy, dokumenta, przytaczał ową genealogią, w której między przodkami swemi wyliczał 300 senatorów, kilku kardynałów, trzech dożów weneckich, dwóch papieży, jednego świętego i jednego Mandaryna. Dla tej przyczyny Mandarynem mianowany, aż do końca życia miano zachował.

W tem to kole, które zbierał u siebie generał Krasiński, rozmowa nie zawsze bywała jedynie żartobliwa i rozweselająca; stawała się ona często poważną, zajmowała się najgodniejszymi uwagi przedmiotami, owczesnym stanem kraju i narodu, przyszłością jego. Ztąd poszło, że zebrania te nie uszły śledczej baczości

donosicieli tajemnych, których liczbę w owym czasie tak bardzo rozmnożyła rządząca władza.

U jenerała także wszczął się pierwszy spór w Polsce o klasycyzm i romantyzm. Dzieło pani Stael o Niemczech, a zwłaszcza kurs dramatyczny Szlegla, później zaś książki Ginguené'go i Sismondiego obudziły w kraju naszym pociąg do poezji chrześcijańskiej, do literatur nowoczesnych. Dotąd u nas nie tylko czytająca publiczność ale nawet literaci ograniczali się do pisarzy starożytnych i francuzkich; z angielskich znali ledwie Miltona, Popa, Adissona, z włoskich Petrarke, Ariosta, Tassa, z hiszpańskich Cerwantesa, z niemieckich zasłyszeli coś o Klopsztoku, coś o niektórych sztukach dramatycznych Schillera i Kotzebuego. Po przeczytaniu dzieł pani Stael i Szlegla obudziła się ochota do zaznajomienia się z Szekspirem, Calderonem, Dantem, z całym Goethem i Szillerem. Nadto trzy w owym czasie błyszczały gwiazdy na niebie poezji angielskiej: Byron, Walter-Skott i Moor. Pierwszy poetycznemi utworami, drugi szczególnie historycznemi powieściami zajmowali umysły. Bogi więc Olimpu ustępowały, uchodziły z świątyni poezji; potrzeba wyprowadzenia sztuki z ciasnych ścian szkoły na szerokie obszary prawdy, natury, narodowych i tegowiecznych wyobrażeń, coraz bardziej czuć się dawała. Byli więc literaci, którzy tę potrzebę uznawali, wykazywali i utworami romantycznej poezji usprawiedliwiali. Byli tacy, którzy obstawali przy wzorach podanych przez Greków i Rzymian w starożytności, przez Włochów i Francuzów w nowszych wiekach. Ztąd i na zebraniach u jenerała Krasieńskiego zaczepki i obrony między zwolennikami jednej i drugiej szkoły powstawały. Franciszek Morawski stał na czele obrońców romantycznej poezji, Osiński i Koźmian byli wyznawcami starej klasycznej wiary, Niemcewicz, który umiał po angielsku i znał angielską literaturę, zajmował niejako środek, a zabawiając się toczącemi się rozprawami, przeciwników do walki pobudzał. Lecz w tem towarzystwie dobranem, jak wesołość nigdy nie przechodziła granic przyzwoitości, jak nigdy żartobliwość, której gospo-

darz pozwalając sobie względem innych, pozwalał i innym względem siebie, nie sprowadzała urazy, tak też i rozprawy jak o tem już w innem miejscu wspomniałem nie zamieniały się nigdy w sprzeczki, a tem mniej w kłótnie. Spory jednak żywszemi się stały, gdy ojczysta literatura zaczęła być ich przedmiotem.

Skoro się odezwały pierwsze dźwięki lutni litewskiej, zaraz obudziło się uniesienie, i chęć naśladownictwa jednych, zajęcie drugich, uwaga wszystkich. Młodszy czytelnicy i pisarze podziwiali i wychwalali każdy z tych utworów, każdy z tych wierszy tchnących świeżą i ojczystą poezią. Starsi uznawali poetyczne natchnienie, ale nowe formy i koloryt, do których nie byli nawykli, ale niektóre usterki językowe zrażały ich; zarazem śmiałość wyrażen, którą za zuchwalstwo uważali, gorszyła. Pochwały bez miary wywoływały z drugiej strony sąd niesprawiedliwy, a gdy się zaczęła rozmnażać trzoda naśladowców, *pecus imitatorum*, krytycy stali się jeszcze surowszymi. Młodszy pisarze już wtedy osobistej przedewszystkiem bronili sprawy. Jednak jako krytyk, publicznie, jeden tylko Franciszek Dmochowski wystąpił. Nie zaprzeczał on nowemu poecie ducha poetyckiego, nie miał zgoła zamiaru poniżyć go, tylko czynił literackie uwagi jakie czy były słuszne czy nie, zwykle za rzecz godziwą uważano. Owóż tem wystąpieniem ściągnął na siebie niechęć i prześladowanie całego młodego piśmiennego pokolenia, ściągnął gniew nowego mistrza. Ustne spory często się na zebraniach u jen. Krasieńskiego toczyły. Przyjacieli i ówczesny naśladowca Mickiewicza Edward Odyńiec stawał na przodzie tych, którzy je wiedli z starszymi pisarzami; lubił zaś je obudzać i podnieść do nich dawać Joachim Lelewel. Razu jednego, przyszło do zbyt ostrych wyrazów między Osieńskim i Odyńcem; więc od tego czasu nie tylko unikano rozpraw tego rodzaju, ale nawet zaniechano częstych w domu generała zgromadzeń. Inne okoliczności o których zaraz wspomnę przyczyniły się także do tej odmiany w literackich nawyknieniach stolicy.

Choć Zygmunt był za młody aby w rozprawach literackich

miewać udział, jednak ich odgłos dochodził do niego. Oddychał on tem powietrzem, które dom ojcowski napełniało i które choć bez wątpienia nie stworzyło w nim ducha poetycznego, bo ten od Boga był mu dany, rozwinęło w nim jednak usposobienie do pisarskiego zawodu. Wrodzoną wrażliwością umysłu chwytął on wszystko co do imaginacyi i duszy przemawiało, i w gronie rówieśników lubił się zajmować przedmiotami, które rozbiegano, i o które spierano się w towarzystwie, jakie ojciec jego u siebie zgromadzał. W czternastym roku życia już marzył o sławie pisarskiej, już ta się przed nim w całym uroku młoda wyobraźnią wywołanym przedstawiała. Niebawem uchwycił za pióro i w chwilach wolnych od nauki skreślił powieść, której tytułu nie pomnę, a którą tajemnie wydrukować na bibule dla oszczędzenia kosztów rozkazawszy, z uczuciem tryumfalnem, jako ofiarę synowską, ojcu złożył. Ojciec lękając się aby tego rodzaju zajęcia nie odrywały go od użyteczniejszej i obowiązkowej pracy, a przytem aby wysilenia młodzieńczego umysłu nie wpłynęły szkodliwie na zdrowie młodzieńca, przyjął dar, lecz dalszego zabronił autorstwa, a nauczycielom czuwać zalecił, aby tego zakazu uczeń nieprzełamywał. Wszelako wszelka straż i wszelkie czuwanie pokazały się bezskutecznemi. Dogadzając popędowi umysłu, wkrótce potem Zygmunt użył chwil godzinom snu odjętych na napisanie powieści pod tytułem *Grób rodziny Reichstaków*. Powieść tę w której przedstawił dramat Wallenszteina, Franciszek Dmukowski w *Dodatku literackim* wydrukował. Następnie napisał na wzór romansów Walter Skotowskich, powieść historyczną *Władysław Herman i Dwór jego*. Ta w roku 1829 wyszła z druku.

Rok 1825 smutnie się zakończył śmiercią cesarza Alexandra i wypadkami które pociągnęła ona za sobą. Nadzieje jakie wzbudzało jeszcze, przychylne dla rodu polskiego usposobienie zmarłego monarchy, zastąpiła w umysłach niepewność, zastąpiło przewidywanie niepomyślnej przyszłości. Odkrycie tajemnego związku w Polsce, liczne uwięzienia, przedłużone śledztwo, mnożące się środki ostrożności, szerząca się nieufność między rządem a rzą-

dzonymi, cały kraj smutkiem napełniły. Rząd zwołał sąd sejmowy i to obudziło czujność opinii publicznej. Senatorowie mający stać się sędziami rodaków o zbrodnię stanu obwinionych, mogli prawego nawet radząc się sumienia różne o obowiązkach swoich powziąć wyobrażenie, stósownie do stanowiska z jakiego się na sprawę wytoczoną zapatrywali. Ci, którzy upielegnowanie pod nowem panowaniem ówczesnego bytu kraju, za świętą powinność uważali, mogli się różnić w zdaniach z tymi, których ten byt ani na chwilę nie zaspakajał. Jednakże okoliczność że pierwsze śledztwo wbrew prawom prowadzono, ułatwiła było sędziom obranie drogi, którą im opinia powszechna wskazywała; i tak zjednoczyły się zdania wszystkich w jednozgodnem przekonaniu. Jenerał Krasiński jak wiadomo, uparł się przy przekonaniu raz powziętem, czem ściągnął na siebie niechęć publiczną. — Rozprzegło się więc jego zwyczajne towarzystwo, ustały w domu jego częste i liczne zebrania.

Właśnie wtenczas piętnastoletni Zygmunt wszedł był do uniwersytetu warszawskiego, gdzie zaraz wziętość u współtowarzyszów, przychyłość, nawet poszanowanie pozyskał. Lecz szkoły publiczne są niejako wstępnym prologiem do publicznego życia. Jak więc w zawodzie politycznym, tak i między towarzyszami szkolnymi, łatwo doświadczyć zmienności opinii, łatwo nabytą wziętość utracić. Stało się że Wojewoda Piotr Bieliński, prezes sądu sejmowego, stanąwszy u kresu obrad sądowych, prawie nagle życie zakończył. Stolica przygotowała się na uczczenie zasług jego w hołdzie pogrzebowym. Niechcąc w nim dozwolić udziału młodzieży szkolnej, (pamiętano zapal jak była przy pogrzebie Staszica objawiła), władza uniwersytecka z wyższego polecenia ogłosiła nakaz, aby w dniu obrzędu wszyscy bez wyjątku uczniowie znajdowali się na prelekcyach. Ten krok niewłaściwy rozdrażnił młodzieńcze umysły i obudził popęd do nieposłuszeństwa. Wszyscy związali się słowem, że na obchód żałobny pospieszą. — Jenerał Krasiński zażądał podobno od syna przyrzeczenia (mówię *podobno* bo zawsze syn temu zaprzeczał),

że się okaże powolnym rozporządzeniu zwierzchności uniwersyteckiej. Otóż po raz pierwszy wtenczas znalazł się Zygmunt wystawionym na mękę próby, która się tak często w życiu jego powtarzała, na mękę walki między dwoma uczuciami, dwoma obowiązками. Wybór między dwoma powinnościami jest równie trudny, jak wybór między dwoma drogami istotami. Wyobraź sobie, że masz wybierać śmierć ojca lub matki, syna lub córki, a pojmiesz męczarnie tych, których los stawia między sprzecznymi targaniami sumienia. Lecz już wtenczas Zygmunt prześcigając wiek, dojrzałością wyobrażeń, uznał że ojciec ma prawo żądać od syna posłuszeństwa. Uderzony świętością władzy ojcowskiej, uległ jej, poszedł także za głosem zastanowienia pokazującego mu, że wśród lat, które liczył, nie mógł jeszcze być samowładnym panem woli, ani odpowiedzialnym za nią. Acz z boleścią, że się od towarzyszków odłączyć musiał, przybył jednak do sali uniwersyteckiej; przybył sam jeden na prelekcję prawa polskiego, którą uczony profesor Bandtkie, dla niego samego przez dwie godziny wykładał. Szczęśliwe wyrażenie o miłości Zygmunta dla ojca znajduję w pośmiertnem wspomnieniu w *Przeglądzie Poznańskim* umieszczonem, jest tam powiedziane, że go po bohatersku ukochał. Pierwszy tej bohaterskiej miłości złożył wtenczas do wód. Lecz postępek Zygmunta nie trafił do przekonania młodzieży, zawsze do uniesień gwałtownych skłonnej, a już w owej epoce duchem i żądzą przedwczesnej niepodległości przejętej. Trudnego a szlachetnego czynu jego nie pojęła ona, uczuć jego nie zrozumiała; potępiła go, co więcej nieprzyjaznemi poduszczeniami pobudzona, potępienie to jawnem uczyniła. Gdy więc następnych dni Zygmunt ukazał się na prelekcjach, przyjęto go oznakami nieukontentowania a razu jednego po prelekcji Ludwika Osińskiego posunięto się do gwałtu, prawie do obelgi. Z podniesionem czołem, z uczuciem własnej godności jakie czystość sumienia nadaje, zniósł młodzieniec te objawy niesprawiedliwej niechęci, a doznał tej pociechy, iż między towarzyszami znalazł śmiałych obrońców przeciw gwałtowi, raz w Konstantym Gaszyńskim, drugi raz w Konstan-

tym Danielewiczu, z którym od tej chwili najczulszą i najwierniejszą połączył się przyjaźnią. Wdzięczność swoją dla niego uwiecznił w pięknym wierszu. Tam zarazem żywo maluje uczucia, jakie w tej bolesnej chwili przepełniały jego duszę. Wszyscyśmy młodzi byli, wszyscy pojmujemy żywe a czasem nierozważne młodości uniesienia, lecz dziś każdy z nas, zwłaszcza ktokolwiek jest ojcem, musi z naganą wspomnieć tę niesprawiedliwość wyrządzoną Zygmuntovi przez rówienników a uczcić i uszanować ten pierwszy czyn jego poświęcenia, ten pierwszy czyn że tak powiem cywilnej odwagi. Zresztą to jego pojęcie obowiązku posłuszeństwa dla władzy ojcowskiej, znalazło najzupełniejsze w całym dalszym życiu zastosowanie. Wśród dzisiejszego osłabienia powagi rodzicielskiej, wśród zamętu powszechnionych wyobrażeń, cześć taka i uszanowanie, jakże podniosły przykład dla młodego plemienia stanowi.

Są wśród dni każdego człowieka stanowcze na całe życie chwile, są w których dusza kształt ostateczny przybiera. W tych dniach wypada wyrok o dalszym losie naszym. Taka godzina uderzyła dla Zygmunta zaraz w pierwszej młodości, skoro się zdarzyło owo zajście wśród murów uniwersyteckich. Sam on to czuł i wyznawał, o tem myślał gdy kreślił wiersz:

Młodość mistrzu! jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały.

Gdyby tego rodzaju niesprawiedliwość była dotknęła duszę mniej wzniosłą i szlachetną, byłaby ją może przejęła nienawiścią, żądzą zemsty, byłaby może zniszczyła wspólność uczuć, która go z rówiennikami łączyła. Lecz Zygmunt acz boleśnie zraniony przebaczył i zapomniiał urazy. Nie zerwał on związku bratniego i jeźli poszukiwał zadosyćuczynienia to chyba w przekonaniu wszystkich całym dalszym życiem, jak wielką wyrządzono mu krzywdę.

Wypadek dopiero co wspomniany skłonił ojca Zygmunta do usunięcia go z uniwersytetu warszawskiego. Wkrótce więc potem wyjechał za granicę. Przebywając w Genewie, pisał w francuzkim

języku do różnych Przeglądów literackich, i zamtąd odbył pierwszą krótką do Włoch wycieczkę. Gdy wrócił do Szwajcaryi, zdarzyło się jednego razu, że siadł do fortepianu i zaczął grać ulubioną swoją nutę: *Ostatnią myśl Webera*. Stanowiła ona cały jego zapas muzyczny, ale umiał oddać ją dokładnie i z uczuciem. Owoż muzyką swoją przywabił przechodnia do sali wspólnej hotelu gdzie stał fortepian. Nieznajomy wszedłszy, zaczął się przysłuchiwać. Powstał Zygmunt i skłonił się. Przemówili do siebie i po krótkiej chwili poznali, że są rodakami. Gość dowiedział się, że mówi z Zygmuntem Krasieńskim, Zygmunt że gościem był Adam Mickiewicz. Tak więc pierwszą znajomość między dwoma znamienitami wieszczami, zawiązała ostatnia nuta Webera, którą oba szczególnie lubili, i która była wyrazem smutku i tęsknoty wielce odpowiednim usposobieniu dusz polskich. Starszy wieszcz opromieniony chwałą, znajdował się wówczas w całej pełni twórczego natchnienia. Młody wszystko co czuł, czego był zdolny, wewnątrz jeszcze siebie mieścił. Starszy odgadł młodzieńca, lubił z nim przebywać i oba razem puścili się na pieszą podróż do gór szwajcarskich. Wędrówka przyniosła im wiele uciechy i niezawodnie w tem zetknięciu się z silnym i już bogatym w doświadczenie jeniuszem, rozwinęła się wyobraźnia Zygmunta, zapaliła się w nim poetyczna pierwsza iskra, spoteźniał duch jego.

Nadszedł koniec roku 1830 i zastał młodzieńca we Włoszech. Wieść o wypadkach dokonanych w Warszawie, doszła go równocześnie z najboleśniejszymi dla serca synowskiego doniesieniami. Burza uczuć różnorodnych wstrzęsła jego duszę — ujrzał się znowu wystawionym na wybór między dwoma obowiązkami, na walkę najtrudniejszą, na udręczenie. Siłą moralną jaką posiadał, byłby zwyciężkim z tej walki wyszedł, siły fizyczne wytrzymać jej nie zdołały. Rzucony na łożo niemocy, przez rok cały dźwignąć się zeń niemógł. Rok ten był najboleśniejszym z całego życia jego. Skrępowanemu chorobą zdawało się, że wśród snu, jakieś razem i miłe i udręczające trapi go marzenie, marzenie śród którego jak się często śpiącym zdarza, miał wolę

jeno możności jej wykonania czuł się pozbawionym. Od tej pory zaczyna się jego męczeński żywot. Wrażenia doznane, choroba którą przebył, stargały jego młodzieńcze siły, i już wtenczas pozostał zaród tych wszystkich cierpień, które się później wywiązały. Nadto dusza z odmetu uczuć bardzo dotkliwych, wyszła ranna i bolejąca na całą przyszłość. Pozostał we Włoszech, sam ze swoim cierpieniem, bez pociechy i pokrzepienia aż do roku 1832, do chwili, w której wola ojcowska wezwała go do kraju, z ką ujrzał się powołanym do Petersburga. Stawiony przed potężnym władcą Rossyi, badany jakiby zawód chciał obrać, gdy do każdego łatwy wstęp miał zapewniony, prosił o wolność wyjazdu za granicę dla wzmocnienia nadwątłego zdrowia. Zimę całą w stolicy Rossyi zostać mu przyszło. Z wzrokiem osłabionym i już gasnącym, wśród rozprzężenia nerwów, które ostrość klimatu powiększała, kilka miesięcy w zamknięciu, wśród zupełnego odosobnienia przepędził. Lekarz cesarski przekonawszy się o istotnym stanie jego zdrowia, oświadczył że przedłużony choćby na krótki czas w Petersburgu pobyt, zgubnym stać mu się może. W skutku tego oświadczenia otrzymał Zygmunt pozwolenie wyjazdu i udania się do wód zagranicznych. Wyjechał więc skwapliwie, a ta bytność w stolicy północy, niezatarte wrażenia w duszy jego zostawiła. Wspomnimy tutaj, że w Petersburgu po raz pierwszy ujrzała go w domu swych rodziców hrabiostwa Branickich, ta, której było przeznaczeniem stać się później dozgonną towarzyszką, pocieszycielką i ozdobą życia jego. W sercu niedorosłej jeszcze dziewczycy, obudziło się już wtenczas, jakieś życzliwe uczucie dla młodzieńca, o którego przymiotach i znakomitym umyśle wiele mówiono, który kalectwem ślepoty był zagrożony, a którego rysy szlachetne wyrazem boleści przemawiały.

W owym właśnie czasie wsławił się na Szlázku austriackim nowy empiryk, podejmujący się zimną wodą uleczyć z każdej choroby. Sława jego wkrótce się głośną stała tak że coraz liczniejszy tłum do Gräffenbergu się zbierał. Udał się tam i nasz chory z Petersburga, a wzmocniwszy nieco nerwy zimę z roku

1833 na 34 w Wiedniu przemieszkał. W tymże czasie wydał w Wrocławiu dawniej napisaną powieść pod tytułem *Agaj-Han* z czasów Samozwańca i Maryny. Utwór ten rozognionej młodzieńczej wyobraźni, aczkolwiek objawiał połyski znakomitego talentu, okazał się niegodnym autora który odtąd umiał strzedz niepokalanej czystości i uczuć i słowa. Sam go więc potępiał, żałując że wziął pióro do ręki, a zwłaszcza że coś podobnego drukiem ogłosił. Lecz w zawodzie pisarskim przeszła już była dla młodzieńca pora próbek literackich, żadnej donosności, żadnego wyższego celu nie mających. Już on był za nadto wiele czuł, myślał i widział, za nadto wiele przecierpiał, ażeby jego czucie i myśl i cierpienie nie miało stać się słowem. I to cierpienie jego nie ograniczało się do sfery osobistej. On w bezmiar swej duszy przejął był wszystkie boleści bratnie, coraz srozsze i liczniejsze. Wszystko co był ujrzał od r. 1830 i w ojczystym kraju i między swoimi na obcej ziemi i u innych narodów, pobudzało go do poważnych rozmyślań. Z głębokością myśli, nigdy prawie w młodzieńczym wieku nienapotykaną, tłumaczył sobie i pojmował ruch ówczesny świata, następstwa rozwijających się wyobrażeń. Widział on na niebie i ziemi znaki nadchodzących czasów, dla innych niezrozumiałe. Pęd wypadków obudzał w nim szczególną przenikliwość ducha, niemal prorocze natchnienie. Rozumiał obecność, odgadywał przyszłość. Tego natchnienia owocem był dramat, którym zajął się w roku 1834 podczas pobytu w Wiedniu, którego część jedną przyszłość przedstawiającą wykończył, a który powszechność dopiero w kilkanaście lat potem zrozumiała dokładnie, gdy go czynami i wypadkami urzeczywistnionym z przeobrażeniem ujrziała.

W owym właśnie czasie obudziło się w młodzieńczem sercu uczucie czynności umysłowej sprzyjające; to otworzyło przed nim nowy świat poezji, rozrządziło płomień jego duszy i jak mniemał ścieszkę jego cierniami zasłaną, kwieciami pokryło. Rok 1836 przebył we Włoszech. Otoczony wielkimi pamiątkami zagłębił się w przeszłość i przy pomocy obszernej nauki, potęgą

myśli wywołał przed oczy duszy, zmartwychwstały cały Rzym dawny i pogański i chrześcijański. W różne jego epoki wpatrywał się; lecz najsilniej go zajęła ta, w której i *Bogi i ludzie szaleli*, w której uwierzęcony cesarz, nad uwierzęconym panował światem, w której szła wszechwładztwa jednego człowieka, niekczemność i podłość wszystkich, rozpusta, okrucieństwo, sprośność wieloraka, pchały ku zatracie i Cezara i Rzym. Widział on w tej epoce ową szlachetną, ową bohaterską, ową w najświetniejsze wspomnienia bogatą Grecję, powaloną pod nogami szalonego samowładcy, i odgadł jaka nienawiść i żądza zemsty napełniała duszę syna Hellady, widział także ów świat katakumbowy, ukrywający pod ziemią, prawdę, ducha i życie; świat z którego nad ziemię wyrość miał wkrótce krzyż zwycięzki. Tak pojawiając się epokę, przeniósłszy się w nią z obecności, utworzył Irydioną.

W roku 1838 przybył do Warszawy. Wtenczas to danem mi było powitać go i odnowić znajomość i związek dziedzicznej przyjaźni. Wyznam, że z niejakiem uprzedzeniem i niedowierzaniem zbliżyłem się do niego. Lękałem się bowiem znaleźć w Zygmuncie znamiona młodszego plemienia i nowej szkoły, a więc pychę umysłu, dumę z pozyskanej sławy, wyłączność i pogardę przeszłości. Jakie było moje podziwienie i radość, gdy zastałem w nim wylaną serdeczność, duszę zbyt wzniosłą aby się zniżać do dumy, zapal uczucia ale połączony z nieskazitelną powagą myśli. Gdym usłyszał słowo jego, gorące, dzielne, porywające, gdy w niem zabłyśły mi promienie jego ducha, uczulem, że nie samą przyjaźń obudził we mnie. Poznawszy go, trzeba było od razu nie tylko kochać go, ale czcić i szanować. Nie długo mogliśmy się nim w kraju cieszyć. Szwankujące zdrowie jego nie dozwoliło mu w domu pozostać, więc wrócił do Włoch na kilkoletni pobyt. W lecie udawał się na kurację to do Karlsbadu, to do Toplitz; zimy przepędzał to w Neapolu, to w Rzymie. Kilku wiernych przyjaciół jak Danielewicz, Gaszyński, Cieszkowski, ks. Jerzy Lubomirski, Zamojscy, Weissenhoff, Małachowski, Sołtan, Roman Załuski, w pewnej epoce Słowacki, Stanisław Koźmian, pó-

źniej ksiądz Kajsiewicz, jeszcze później Czacki, stanowili w różnych czasach jego zwykle towarzystwo. Z obecnymi najchętniej i wyłącznie przestawał, z nieobecnymi listownie się znosił. Wtenczas to na drodze życia spotkawszy Beatrice zdolną go pojąć, zdolną jak on uwielbiać wszystko co piękne, czy w czynach ludzkich, czy w utworach myśli, czy w sztuce, natchnienie swoje w wiązaną mowę przelewać zaczął (dotąd pisał tylko prozą). W roku 1840 podczas kiedy we Francyi stał u steru rządu, ten, który znakomitem dziełem historycznem rozbudził na nowo wspomnienia chwały i potęgi napoleońskiej, podczas ministerstwa p. Thiers, sprowadzono ze skały św. Heleny zwłoki wielkiego cesarza. Powitała je z zapalem Francya, powitał Paryż i ujrzał je złożone na wieczny spoczynek pod kopułą Inwalidów. Ta uroczystość narodowa obudziła uniesienia ludu, natchnienia poetów. Wzniósł głos Wiktor Hugo, i w pięknej odzie, działa Inwalidów grzmiące na przybycie zwłok bohatera, przyrównał do brytanów wyjących z radości i witających powrót swego pana. Odezwał się wtenczas i nasz Zygmunt w wierszu bezimiennym, który jednak wielkiego objawił poetę. Pamięć Napoleona silnie zawsze przemawiała do jego wyobraźni, i drogą mu była, jak wszystko co nad poziom wybujałe i ducha podnoszące. Zresztą z cesarstwem łączyły go najświetniejsze ojca jego zasługi i wspomnienia. Dzieje napoleońskie tyle w sobie mieściły potęgi, chwały, tyle nadziei polskich, że rozpatrywać się w nich lubił; zaczętem łatwo pojąć, że na odgłos narodowego hołdu oddanego we Francyi wielkiemu wojownikowi i on przemówił, i on pokłon swój z tylu pokłonami połączył.

Zjawił się był w tym czasie między rodakami naszymi na wygnaniu, ziomek z Litwy przybyły, który zaczął sobie przywłaszczać posłannictwo apostoła i proroka. Przemówiwszy do wrażliwej wyobraźni wielkiego wieszczą narodowego, opanował umysł jego, wzbudził w nim wiarę, i pchnął ducha jego na bezdroża obłędu. Powagą i urokiem jakie gieniusz Mickiewicza nadawał nowej nauce, zresztą jego przykładem pociągnąć się dały umysły, które pragnienia w żywym źródle prawdy ugasić nie chciały, które czegoś

nowego, nadzwyczajnego wyglądały wśród zawodu tylu nadziei, wśród cierpień i tęsknoty wygnania. Liczba wyznawców w tym nowym kościele nie była wielka, lecz wśród nich kilku znajdowało się celujących zdolnościami tudzież prawością, i których obłąkanie ówczesne odciągnęło od drogi, na której społeczeństwu i sprawie, jakiej służyli, stać się mogli użytecznymi. Wyobraźnią Zygmunta, pociągało to wszystko, co było tajemniczem i niezwykłym, ztąd zajął się z ciekawością zbadaniem tej nauki, czyniącej z uczniów sektarzy, a zdolnej ośwłoczyć umysł Adama. Poznał on zaraz jej błędy, jej złudzenia; lecz go uderzało silne przekonanie, nieudany zapał wyznawców; zaczęło zastanawiać się co mogło przywieść naczelników sekty do ufności w własne natchnienie, do apostołstwa i prorokowania. Możliwe, że te badania oswoiwszy umysł jego z niebezpiecznymi wyobrażeniami przez naukę messsianizmu głoszonymi, odbiły się mimowolnie w niektórych pismach w tym czasie wykończonych; wkrótce jednak i śladu wyobrażeń wątpliwych w umyśle jego nie pozostało. Przeciwnie przejęty przekonaniem o całej ułudzie nauki, starał się nieraz obłąkanych przekonać i z przepaści błędu wyciągnąć.

W roku 1842 przybyła do Rzymu rodzina hr. Władysława Branickiego. Trzy najpiękniejsze dziewice polskie były jej ozdobą. Ojciec Zygmunta od dawna przeczuwał sercem ojcowiskiem w jednej ze sióstr tę, której przeznaczeniem było wniesić szczęście domowe za progi jego. Złączony przyjaźnią z hr. Branickim uważał ją dorastającą, uważał dorosłą i najgoręcej a wytrwale pragnął ażeby Zygmunt zjednawszy sobie jej skłonność, dar jej ręki otrzymał. Ludzie z duszą gorącą, z wyobraźnią żywą, rzeczywistości zawsze prawie nieradzi, przenoszący się łatwo w świat marzenia, słowem poeci, rzadko kiedy do życia domowego są usposobieni, rzadko też kiedy szczęście jest ich udziałem. Lecz jeżeli uciechy rodziny i pożycia małżeńskiego przedstawiają się im niekiedy jako zbyt poziome i jednostajne, ta którą generał Krasiński pragnął nazwać synową, urokiem postaci, pięknnością duszy, pojęciem i zamiłowaniem tego co wzniosłe, co

nadziemskie, zdolna była ozdobić życie poety, taką poezją, jaką tylko wyobraźnia wymarzyć mogła. Spełniły się w końcu życzenia ojcowskie. Wybór Elżbiety hrabianki Branickiej padł na Zygmunta. Zaręczyny odbyły się w styczniu roku 1843, ślub w Dreźnie 26 lipca tegoż roku. Czas pobytu Zygmunta we Włoszech był czasem jego bujności poetycznej. Odezwał się on pieśnią, która od razu wpłynęła do duszy narodu, pieśnią w której wiał duch z najwznioślejszych wyżyn. Już nawykano u nas do słów niewiary, nienawiści, zemsty, pchających do celu wszelkimi otwartymi drogami; aż tu razem zadźwięczał śpiew wiary choć jeszcze mglistej, miłości i nadziei. Był tam jęk przeciągły, lecz nigdzie nuty rozpacz. Poeta sławił cierpienie, poświęcenie, męczeństwo. Głosił, że nie dosyć nieść ofiarę, ażeby była przyjętą, że trzeba aby była darem czystego serca, aby była ablową. Tem wszystkiem co występne, pokalane, sromotne, brzydził się sam i obrzydzenie wzbudzał. Przekonany że cierpienie, ta wielka tajemnica na ziemi, było miłości bożej objawem i stanowiło środek oczyszczenia, wydoskonalenia i zasługi, równie dla człowieka pojedynczego, jak dla zbiorowego, to jest dla narodu, nauczał jak się z niem obchodzić, jak z niego korzystać. Wiedział i głosił że dla ludzi jak dla narodów, każda boleść obraca się na zatrutę lub zbawienie, stósownie do tego jak jest przyjętą i na dobre użytą. To co miłował bez granic, uważał w swej miłości jako zupełnie oczyszczone i uświęcone, i taką to pieśnią umacniał, ogrzewał i z pyłu moralnego otrząsał dusze rodaków. Chwilami wznosił się do przepowiedni, a jeżeli w ich wyrazie nie zawsze wszystko jest łatwo zrozumiałe, uważmy że w każdej tego rodzaju pieśni podobny charakter się spotyka. Daleka odemnie myśl bym stawiał naszego wieszczą obok proroków których natchnienie wprost od Boga jak nam zakon wierzyć nakazuje pochodziło, samby on wzdrygnął się na nią i groźnie ją potępił; lecz dozwolę sobie spostrzeżenia, jako w Psalmach króla Dawida, że tylko Psalmi pokutne wspomnę, jest wiele wierszy raz nie przystępnych pojęciu, wiele wyrażen nie łatwych do wy-

tlómaczenia. Zkądinąd zataić nie można, że rodzaj poezyi jaki obrał, mowa jaką sobie utworzył, stała się może ponętną ale razem i niebezpieczną dla chcących go naśladować. Dar wieszczenia nie każdemu jest dany, ani też nie każdemu wolno być wszechwładczą mową ojczystej. Naśladowcy Zygmunta namnożyli wiele utworów miernych, wymęczonych a razem niezrozumiałych. Śmiałość z jaką on władał mową, naśladowana przez nich, stała się zuchwalsstwem.

Po zawarciu ślubów małżeńskich w Dreźnie przybył Zygmunt z małżonką do kraju; odwiedził wiejskie mieszkanie ojca Opinogórę, dziedzictwo macierzyńskie Radziwiłłowskie Knyszy = wślawiony zgonem Zygmunta Augusta, i przez lat dwa pozostał w Królestwie polskiem, dwie zimy przepędzając w Warszawie. Ciągłe cierpienie oczów, i choroba nurtująca w całym ciele, nie dozwoliły mu udzielać się towarzystwu stołecznemu. Zamknięty w pokoju, szczupłe jeno grono najbliższych znajomych i przyjaciół przypuszczał do siebie. Składali je zwykle PP. Zamojscy Andrzej i Jan, Krasińscy, Władysław Małachowski, Adam Łęski, Ludwik Górski, Stanisław Sufczyński. Ta, która od dzieciennych lat jego, zastępowała mu siostrę, którą on uczuciem brata ukochał, która z nim wzrosła pod opieką jego rodziców, ta której od dawna poznał całą duszę, cały umysł, którą więc równie cenił, jak kochał, pani Amelia Załuska, przynosiła przedłużanym jego wieczorom pociechę poufnych rozmów, i cały wdzięk najprzyjemniejszego towarzystwa. Wtenczas to dałem mu poznać poraz pierwszy ustępy z poematu Stefan Czarniecki, które go mocno zajęły i wywołały uwagi i rady, jakie objął w listach do autora i do mnie pisanych. Przy czytaniu głośnem dzieła, zwykł był udzielać spostrzeżeń krytycznych, zwykł był wszystkie celniejsze miejsca wskazywać, podnosić i dodawać do nich wzniosłe słowa własnej poezyi. Wytykał także dostrzeżone usterki i błędy, a wśród tych krytycznych uwag, trzeba było tylko słuchać go, uczyć się i podziwiać. Nie mogę wstrzymać się od przypomnienia w tem miejscu wrażeń jakich i ja doznawałem, i ci których odwiedziny przyjmowałem. To

moje przypomnienie zechcą mi czytelnicy przebaczyć. Poetyczność i tajemniczość pewna, przemawiająca do wyobraźni, otaczała Zygmunta. Nie było w nich żadnego przygotowania scenicznego. Mieszkał w domu ojca, gdzie każdego wieczora oba piętra rześisto oświecano. Przechodzący obok, mogli mniemać że w tym domu zgiełk uczty, zabaw uciecha, a tam zamieszkało odosobnione od świata cierpienie. Wchodziło się na pierwsze piętro schodami przyozdobionemi w przodków wizerunki. Przebywszy oświecone sale, wstępowałeś do obszernego pokoju, który zalegał mrok światłem tylko jednej przyćmionej lampy rozświecony. Tam znajdowałeś poetę najczęściej leżącego. W pierwszych wieczornych godzinach zwykle cierpiał, a więc raczej przysłuchiwał się rozmowie jak rozmawiał. O pewnej godzinie otwierały się drzwi od następnego pokoju i ukazywała się całym urokiem wdzięków i młodości, całą dostojnością płci swojej ozdobna małżonka jego. Wśród tej ciemności była ona jakby poetycznem widzeniem, w pół tylko widzialnem. Zwykle koło północy zmniejszały się cierpienia poety — powstawał — przemawiał o przedmiotach zajmujących go, i wtenczas wylewały się potoki jego wymowy, przyskały iskry gieniusza, przenosili się słuchacze w wyższe krainy myśli, natchnienia, w świat poezji dotąd im nieznaney. Późno w noc przeciągały się te posiedzenia. Mówiącego chciałbyś być bez końca słuchać, tak jak powiedziano o pewnym znakomitym mówcy: „Słuchałeś go jeszcze, gdy już mówić przestał.“ Teorya szkolna dzieli wymowę ludzką na kilka oddziałów i jej prawa i wzory podaje. Zajmuje się więc wymową sądową, polityczną, kaznodziejską, akademicką; tymczasem pomija wymowę największego może znaczenia i potęgi — wymowę słowa żywego — wymowę że ją nazwę rozmowy potocznej. Otóż w niej był Zygmunt mistrzem nieporównanym. W słowach jego był płyn magnetyczny i prąd elektryczny. Rozbudzał i podbijał twego ducha. Wszystko czego się słowem tknął, przemieniało się w złoto i w klejnoty. Jeżeli słowa Nestora były tak miękkie, tak spiesznie i obficie spadające jak płatki śniegu; wymowę Zygmunta

przyporównać można do tej potężnej rzeki, z wielkiej wysokości rzucającej się, rozpryskującej się w tysiączne potoki i rozlewającej się u dołu w szerokie i bystre koryto. Mówił on tak jak pisał. Z korespondencji jego, która drukowi powierzona będzie, powezmą czytelnicy wyobrażenie jak mówił — lecz przytem przypomnieć sobie powinni słowa współzawodnika Demostenesa, który odczytawszy uczniom jego mowę z oznakami uniesienia przyjętą, dodał: „A cóżby było gdybyście go byli samego mówiącego słyszeli!“

W miesiącu wrześniu roku 1844, Bóg ubłogosławił Zygmunta narodzeniem pierworodnego syna, który otrzymał imię Władysław, widocznie by uzupełnić jego szczęście domowe, aby go coraz silniej doń przywiązać i aby mu niejako wynagrodzić nowem obudzonem uczuciem ojcostwa, boleść którą w nim obudziła strata ukochanego przyjaciela. Konstanty Danielewicz po długiej chorobie zakończył był życie 27 marca r. 1842 w Monachium. Zygmunt grób jego przycisnął kamieniem, na którym piękny i czuły napis wyrzył*).

Stan zdrowia Zygmunta nie dozwolił mu dłużej przeciągnąć pobytu przy ojcu, między rodakami. Udał się na południe do Nizzy i ztamtąd się odezwał prawdziwie proroczego natchnienia dźwiękami. Nadszedł rok 1846. Zawyla na ziemi polskiej straszliwa burza, zalała ją potokami krwi, rozniosła obrzydliwość spustoszenia moralnego. Pamięć tego roku dotąd przejmuję i przez wszystkie czasy przejmować będzie dreszczem wstrętu i przerażenia każde serce prawe. Co uczuł wtenczas Zygmunt, jaką boleścią rozdarła się jego dusza, jakże wyrazić? „Czemuż nie „byłem fałszywym prorokiem“, wołał w żalu i złorzeczył przenikliwości własnego ducha. Znekany, obalony, część sił żywotnych wśród tego przygnębienia uрониł. W czerwcu roku 1846 urodził mu się drugi syn Zygmunt. Choć następujące po sobie wypadki, choć popęd dany ruchowi z wysokości skały Piotrowej obudziły wiele nadziei i zdawać się mogło, że świat swobodą

*) Napis ten przytoczył w rubryce wiadomości potocznych Dziennik Poznański w numerze 183.

odetchnie, on się złudzeniom nie poddawał, owszem przewidywał bliski zamęt. Przy końcu roku 1847 przybył do Rzymu i tam był bolejącym świadkiem wydarzeń roku następnego. W chwili, w której bezpieczeństwo Ojca św. zdawało się być zagrożonem, on powziął myśl utworzenia zastępu z gorliwych katolików różnej narodowości, gotowych do poświęcenia życia w obronie jego. Nadeszłe katastrofy uczyniły niepodobnem wykonanie tego zamiaru. Wtenczas to w Rzymie spotkał się powtórnie z Mickiewiczem. Lecz w owym czasie dwa ich duchy na dwóch przeciwnych sobie stały biegunach. Zygmunt znalazł był niezachwianą siłę i spokój w osiągniętej prawdzie; duch wieszcz litewskiego łamał się z namietnościami i błędami. Oba poeci acz zgodni w pewnych uczuciach, do porozumienia się dojść nie mogli. Zaiste sprzeczne były ich wyobrażenia i religijne i towarzyskie i polityczne. Adam ufny we własną potęgę, poddawał się najdziwniejszym ułudzeniom, sławił środki i skuteczność broni, jaką Zygmunt ze wstrętem odrzucał, głosił naukę, którą on z całą siłą przekonania potępiał. Był chwilowo Adam (wyznać należy z boleścią) w nadzwyczajnym stanie wzburzenia i walki; lecz choć z Zygmuntem zgodzić się w zdaniach nie mógł, lubił z nim rozprawiać i w domu jego przebywać; rodzinie jego okazywał życzliwość. Twierdził że znajdując zawsze u niego drzwi otwarte, brak licznych i pilnych w służbie sług, brak wszelkiej zagranicznej wytworności, czuł że do domu polskiego przybywał. Chętnie też przychodził zasiąść za jego stołem. I w istocie gdzież właściwiej mógł się mniemać w Polsce, jak będąc w domu Zygmunta.

Uczucie religijne Zygmunta było zawsze głębokie i silne i jeśli nieraz dał się unieść błędnej wyobraźni, powątpiewaniu o prawdzie katolickiej nigdy nie uległ. Owoż w Rzymie uzupełnił i utrwalił swoje przekonanie o niej. Dotąd nie czuł potrzeby szukania pokrzepienia i wewnętrznej siły w praktyce religijnej, nie uznawał jej wykonywania za obowiązek konieczny. Od roku 1848 doszedł do przeświadczenia, że przejrzawszy prawdę, przyjąć ją

trzeba całą, bez żadnych zastrzeżeń i tłumaczeń, gdyż prawda niemylna musi być prawidłem bez wyjątków. A jak w państwie dobrze urządzonem wszyscy zarówno mieszkańcy, dostojniejsi i niżsi, oświeceni i nieumiejętni, całemu prawodawstwu państwa zarówno ulegać muszą, i nie mogą wybierać sobie praw, którym będą posłuszni, a odrzucać innych, jako niepotrzebnych; tak tem bardziej w wierze religijnej zupełne posłuszeństwo wszystkim jej przepisom, jest wyraźną koniecznością. To uznał Zygmunt. Uznał że człowiek wyższy, rozumem i nauką niema prawa wyłamywać się z pod reguły tak jak i prostaczek, i że obowiązek posłuszeństwa jest jeszcze świętszy tam, gdzie żaden przymus fizyczny nieistnieje. Od tej pory stał się Zygmunt najgorliwszym wykonawcą wszelkich przepisów kościoła. Nie zaniedbywał żadnej z praktyk, wypełniał je z budującą pobożnością i wiarą, i znajdował w nich zawsze pociechę i ubieranie nową siłą. Odtąd też w pismach swoich zaczął bacznie zwracać uwagę na pomysły i wyrażenia, strzegąc ich od uchybień przeciw prawowiernej nauce. Ponieważ lękał się sam zbyt bystrego polotu swej myśli i wyobraźni, pisma dotyczące filozoficznych i teologicznych zadań, poddawał pod sąd oświeconych i silnego zdania kapłanów. W niektórych dawniejszych niejaki zmiany zaprowadził, odejmujące im nawet pozór błędu religijnego. Związek takiej pokory ducha z taką potęgą, przedstawiał jeden z najszlachetniejszych wzorów, na jaki się natura ludzka zdobyć może.

W miesiącu czerwcu r. 1848 przez Szwajcaryą udał się do Heidelberga, zkąd odważył się na kilkodniową wycieczkę do kipiącej rewolucyą republikańskiej Francyi. Zajrzał on w paszczę tego wulkanu dymiącego jeszcze i wyrzucającego wrzącą lawę, i uniósł ze sobą przekonanie że Francyi i społeczeństwa europejskiego nie potrafią ocalić ludzie, jeno człowiek, i że w takim rozprzężeniu organizmu społecznego, tylko śmiały lekarz heroicznymi środkami zbawić może. Po kąpielach morskich, na zimę przeniósł się do Badenu. Tam wśród uroczych obrazów

natury, ciesząc się łagodnem powietrzem puszczał się na dalekie przechadzki i pieszo w towarzystwie żony zwiedzał okolice. Wy-
padki ówczesne nastroiły ducha jego na ton właściwy. Mimo
ciągłych cierpień fizycznych, wrócił na nowo do ułożonego w my-
śli, lecz niedokończonego dotąd dzieła, i tworzył pierwszą i trze-
cią część dramatu, którego tylko drugą część był skreślił. Gdy
pisał, zwykł był żądać, aby małżonka wygrywała mu na forte-
pianie nuty, które szczególnie lubił. Dźwięki muzyki dopoma-
gały natchnieniu poetycznemu. Gdy w Badenie wybuchły zabu-
rzenia, przerwał pracę, i schronił się do Szwaicaryi. Ciężka cho-
roba przez dwa miesiące uwięziła go w Bernie. Zaledwie z niej
wyszedł, otrzymał rozkaz powrotu do kraju. Spełnił go przy
końcu października z narażeniem życia. Na zimę usadowiwszy
się w Warszawie, gdy w dzień mroźny odwiedzał w Willanowie
małżonkę, strzegącą tam siostry ciotecznej Augustowej hr. Po-
tockiej ospą dotkniętej, zaziębił oczy i zapadł tak ciężko, że
o mało wzroku nie stracił. W miesiącu lipcu roku 1850 po-
większyła się jego rodzina przybyciem na świat córki Maryi. —
W tym czasie wziął się do czytania dzieł świętej Teresy. Gorą-
cość duszy zatopionej w Bogu, wzniosłość mistycznych uniesień
oddanych potężnemi wyrazami, tak silne uczyniły na nim wra-
żenie, że chciał zaraz poetyczny utwór na tle życia duchownego
i mistycznego wielkiej świętej zbudować. Zamiaru swego jak wia-
domo tylko w drobnej dokonał częstce. Ta miłość pobożna, pała-
jąca jak namiętność, *to piekło miłości*, że powtórzym wyrażenie
samej świętej, ta tęsknota pozerająca jej duszę, to stopniowe jej do-
skonalenie się i uduchownianie, ta uzyskana łaska widzeń, opano-
wały wyobraźnię poety. Wylał więc kilkadziesiąt płomiennych
wierszy, w których samą treść uczuć świętej zebrał, i które pod
względem poetycznym i artystycznym uważam za jeden z najznakó-
mitszych jego utworów. Dozwoliłem sobie nad tym urywkiem,
w innem miejscu, kilku uwag; zdało mi się bowiem dostrzedz, że
poeta choć do najwyższej potęgi poetycznej uniesienie miłości do-
prowadził, domięszał nieco ziemskiego uczucia do tego, którym św.

Teressa oddychała. Przekonałem się o prawdzie mego spostrzeżenia porównywając wiersze polskie z jej dziełami. Mimo to, glossa św. Teresy skreślona piórem Zygmunta, pozostanie jako najcelniejsza polska poezja w tym rodzaju, jako najwymowniejszy, najgorętszy wyraz miłości religijnej. Niedawno drukiem ogłoszona najprzód błędnie, później z poprawkami autora, dostatecznego oceny dotąd się nie doczekała. W każdym razie dostarczyła przekonania, że u lutni naszego poety nie jedna tylko dźwięczała strona, i że nie tylko duszy jego żadne gorące i wzniosłe uczucie obcem nie było, ale owszem każde w niej potężniało i poetyzowało się.

Z wielką trudnością uzyskawszy wolność wyjazdu za granicę, udał się Zygmunt do kąpieli morskich w Treport; ale te zamiast przynieść mu ulgę, pogorszyły stan jego zdrowia. Na zimę osiadł w Heidelbergu, gdzie się z nim połączyła wkrótce małżonka jego, z nowonarodzonym dziećciem. Ból oczów zagrażający ślepotą pozbawił go wszelkiej do pracy zdolności. Na wiosnę w roku 1851 niebezpieczna i nagła choroba nawiedziła starszego synka jego Władysława. Już dziecko w oczach rodziców gasło, już konało; ocalało jakby cudem w dzień powszechnej żałoby chrześcijaństwa, w sam Wielki Piątek. Na widok niebezpieczeństwa, obudziło się w całej sile w sercu Zygmunta uczucie ojcowskie. Cierpienie stawało się zawsze dla jego duszy ogniwem, łączącym go z tymi dla których cierpiał. Całe następujące lato w Badenie przebywszy, udał się do Rzymu. Zbliżały się we Francyi wielkie wypadki, zbliżała się chwila, w której na milionowe części rozdrobniona władza, miała się z ułamków stać jednością, w której jak na lat trzy wprzód przepowiedział Zygmunt, jeden człowiek miał wydzwignąć kraj z bezrządu i z bezsiły, zaczął społeczeństwo zabezpieczyć. Owóż człowiek naznaczony na takie posłannictwo już się był znalazł. Ufny w swoje powołanie, tą ufnością silny a więc spokojny, przedsiębiorczy bez zapału a więc zdolny obrachować dokładnie, umiejący dla powziętej myśli głównej, wszystko poświęcić, wszystko znieść, wszystko narazić, nie zniechęcony ani przeszkodami, ani niebezpieczeństwem, na obelgi obo-

jętny, cierpliwie i w milczeniu, posuwał się ku celowi, jakby prowadzony ręką Opatrzności. — Uważając Zygmunt każdy krok jego, śledząc bacznie jego zamiary, poznał w nim znamie męża przeznaczeń, i już na początku jesieni tegoż roku 1851, bliskie we Francyi jednowładztwo wskazywał. Był zaś pewny że prezydent rzeczypospolitej jak powziął zamiar, tak go i wykonać zdoła. — Jego przekonanie taką miało siłę, że je przelał w jednego z naszych rodaków osiadłych we Włoszech. Ten zajmując się obrotem finansowym funduszów swoich, nadał im kierunek wskazany przez zaufanie w przyszłość księcia Ludwika Napoleona, zkaż po dniu 2 grudnia znaczne korzyści odniósł i Zygmuntowi powiększenie mienia zawdzięczał. — Zimę spędził nasz wieszcz w Rzymie. W chwilach wolnych od cierpień zwiedzał z ciekawością nowe odkrycia i wykopaliska, w tym właśnie czasie na Via Appia dokonane. Widok tych grobów, pomników, potrzaskanych rzeźb, tych szczątków zmarłej przeszłości, dał mu myśl do jednej z najpiękniejszych jego poezyi dotąd nie ogłoszonej, którą żonie poświęcił. Odbyszwy wycieczkę do Neapolu, na lato przybył do Badenu. Podczas pobytu w tem uroczem miejscu, zwykł był odwiedzać mieszkającą tam w letniej porze W. księżnę badeńską Stefanię, równie wszelkiemi wyższemi przymiotami płci i stanu swego znakomitą, jak licznemi nieszczęściami wslawioną. Znała ona ojca jego na dworze cesarza Napoleona, pamiętała go z czasów jego świetnej młodości, więc chętnie syna przyjmowała. Od pierwszego poznania uderzona wzniosłością jego umysłu, pociągniona szlachetnością jego serca, najprzychylniejsze powzięła dla niego uczucie. To dochowała do końca, a gdy wiadomość o zgonie Zygmunta otrzymała, spieszenie wdowie wyrazy głębokiego żalu przesłała. Wielka ks. znajdowała równe upodobanie w długich z nim rozmowach, jak w czytaniu pism jego we francuzkim języku, które w jej ręce składał. Zygmunt też wielce ją szanował i wdzięczność dla niej wyznawał. Całe lato przebywszy na brzegach Renu, ujrzał się powołanym do kraju nowym nakazem. — Pospieszył więc do Warszawy z rodziną w późnej je-

sieni 1852 roku. — Podczas zimy dwa wówczas szczególnie przedmioty zajmowały Warszawę, dwa zjawiska. Jedno powszechne tak w Europie jak w Ameryce, *Stoły wirujące*, drugie miejscowe, *Deotyma*. Pierwsze okazało się bezużyteczne, zwodnicze, kiedy w utworach jakie wieszczka polska wydała zrazu i z jakimi po długiej przerwie teraz wystąpiła, pozostaną na zawsze dowody jej wysokiego poetycznego usposobienia. Oba te zjawiska przypadkiem się ukazujące równocześnie, obudziły żywe Zygmunta zajęcie. Wrażenia jakie w nim wywołały, sąd o obydwóch, znajdujący czytelnicy w korespondencji jego przygotowującej się do druku. Odwiedziłem wtenczas Warszawę, i pierwszy byłem który go z poezjami Deotymy zapoznałem. W miarę jak nowe wypowiadała, lub kreśliła, niosłem je do niego; przyjmował je często z radością, nawet z uniesieniem, zawsze z podziwem. Zarazem z przenikliwością umysłu, jakiej nikt w równym stopniu zdolny nie był, określał charakter, wskazywał niebezpieczeństwa, przepowiadał przyszłość tego talentu. Wtenczas to wieszczka i do niego odezwała się pięknym wierszem, który z wdzięcznością przyjął. Stan zdrowia odjął mu sposobność poznania jej osobiście. Przez lato całe schorzały, z rozstrojenemi nerwami, z osłabionym wzrokiem, pozostał w Warszawie. Potrzebował powietrza, a blasku słońca znieść nie mógł. Przechadzał się tylko w ogrodzie pałacowym, po ścieżce zamkniętej ścianami z płócien rozciągniętych. Gdy środki lekarskie jakich w Warszawie używał nie przyniosły mu ulgi i stan zdrowia pogorszał się, wyjechał nad Ren do Boppard, gdzie kuracya wodna wielce mu się szkodliwą okazała, i podobno spowodowała dalszą jego chorobę. We wrześniu urodziła mu się druga córka, którą od imienia jej matki Elżbietą nazwał. Małżonka jego rozstawszy się z synami, przy dziadku pod strażą nowo nadanych im przewodników w Warszawie pozostałymi, połączyła się z nim w Heidelbergu. W tem to jedynie miejscu pozwolono mu za granicą przebywać. Przygotowywały się w owym czasie wielkie europejskie wypadki. Niebawem nagromadzone na Wschodzie chmury pękły i btrza wojenna zaryczała. Powiększyła się więc

dla niego trudność w uzyskaniu dalszego paszportu. Kiedy cierpienia i wycieńczenie z sił, do takiego przywiodły go stanu, że tylko w cieniu trzech drzew tuż przy domu obok siebie rosnących, mógł się słabym krokiem przechadzać, i już tylko ołówkiem pisywał, doszedł go rozkaz niezwłocznego do kraju powrotu. Usiłowania małżonki jego i nabyte przekonanie o niemożności wyjazdu, wyjednały mu po raz ostatni (jak to zastrzeżonem było), pozwolenie pozostania na kilka miesięcy za granicą, z czego korzystając żona pospieszyła do Warszawy dla przywiezienia mu synów, z którymi rozłączenie zbyt mu dotkliwie było, a ich samych pozbawiało przewodnictwa i straży ojcowskiej. W miesiącu styczniu boleśnie go dotknął zgon jego wiernego i ulubionego sługi. Sam złamany chorobą pielęgnował go — nie odstąpił go w ostatnich chwilach, niewypowiedzianie go żałował, i odtąd zawsze z czułością przywiązanie i pocziwość prawdziwie polską swego Jana wspominał. Serce jego przed żadnem czuciem tklivem nie zamykało się. Jakim był synem dla ojca, przyjacielem dla przyjaciół, bratem dla rodaków, takim był też i dla sług panem.

Na początku marca r. 1855 rozległa się w jednej godzinie po całej Europie niespodziewana wieść o zgonie potężnego władcy Rosyi. Wrażenie objawiło się tem silniej im mniej przewidywano wypadek. To którego Zygmunt doznał było poważne, niejako uroczyste. Wnikającym w przyszłość umysłem odgadł i zapowiedział następstwa tego wielkiego faktu i bliski pokój zwiastował wtenczas, kiedy inni wróżyli długie i rozległe zawihrzenie. W tym to czasie zmieniło się jego dawne położenie pod tym względem, że mając odtąd ułatwione przebywanie za granicą, mógł spokojnie przedsiębrać zaleconą mu kuracyę, bez obawy nagłego jej przerwania. Usadowił się więc swobodniejszy na lato w Badenie i tamże zimę przepędził. Żył w zupełnem odosobnieniu. Zaledwie dwóch czy trzech najbliższych przyjaciół, Alexander Potocki, Gaszyński, Małachowski, stanowili jego codzienne towarzystwo. Oddalony od niego wiekiem, lecz złą-

czony krwią i zgodnością uczuć i wyobrażeń, a równie jak on na ciągle cierpienia fizyczne skazany Włodzimierz Czacki, przynosił mu wiele pociech i rozrywki, zostając przy nim. Zaczynał ten młodzieniec wszechstronnie godnym być stać się nie tylko towarzyszem, ale nawet przyjacielem, starszego od siebie brata i wuja zarazem. Przy końcu tego roku, nowy monarcha Rosyi powołał był ojca Zygmunta, do sprawowania czasowego namiestniczej władzy w Królestwie Polskiem. Widok rodaka na czele rządu powitał kraj z nadzieją i z otuchą. Odgłosy powszechnego zadowolenia z chwilowego zarządu generała Krasińskiego, dochodziły do samotności Zygmunta i przejmowały go uradowaniem. Niema dla serca kochającego większej rokoszy, nad tę którą przynosi uznanie wartości i zasług osoby ukochanej. Ocenienie bezstronne chęci i usiłowań ojca, zacierało w duszy syna wiele bolesnych wspomnień. Ustąpił wkrótce generał Krasiński z naczelnictwa rządowego, lecz zostawił u wszystkich w kraju pamięć zaszczytną. Wkrótce potem dla poratowania skołatanego zdrowia przybył do wód w Kissingen w r. 1856, gdzie syn do niego pospieszył. Tam ciężka nawiedziła Zygmunta choroba. Złe, które go trawiło, nowy przybrało charakter, objawiło się zewnątrz bólem i otwartą raną w kolanie. Pozbawiony władzy w nodze, przez dziesięć miesięcy mógł się tylko na kulach poruszać. Zimą przepełdził w Paryżu, i ta dla jego czynnego umysłu straconą nie była. W rozmowach z osobami z którymi zabrał znajomość w stolicy Francyi, w pismach które kreslił, udzielał swych spostrzeżeń i pomysłów, pogląd wzniosłego ducha objawiających. Poznali go wtedy i ocenili niektórzy znakomitsi cudzoziemcy, między którymi niemałą powagę uzyskał. Lekarze na wiosnę wymagali po nim aby się do wód udał; gdy wtem w maju r. 1857 dotknęła go klęska majątkowa zupełnie nieprzewidziana. Wśród ogólnego przesilenia finansowego, znany i powszechną ufnością poparty dom Thurneysena zbankrutował, a naczelnik jego ratował się nagłą ucieczką. Zygmunt złożył był u niego jako depozyt, nie tylko wszelki swój własny kapitał, ale nadto fundusze żony. Ufny bo szla-

chetny, nie podglądając złej wiary, nie przewidywał aby ówczesne zawikłanie pieniężne mogło narazić na niebezpieczeństwo, mienie jego, do przechowania jedynie powierzone. Gdy niejaką podejrzliwość w nim wzniecono, dał się z niej łącznie rozbroić zaręczeniami obłudnika. Gdy ujrzał zawiedzioną ufność i nieochybną stratę, nietyle go dotknął uszczerbek przyniesiony jego osobistemu majątkowi, ile błąd popełniony w zarządzie żony funduszków. Szczególniej bolało go nabyte doświadczenie, nabyte złąd, że miał sposobność poznać w całej ohydzie człowieka, którego był szacował i któremu ufał. Tracąc znaczną część mienia, tę właśnie która mu najniezawodniejsze dochody zapewniała, tracił niejako niezależność, tracił możność hojnego świadczenia innym i skazanym się widział, na troskliwe wglądanie w materialną stronę życia. Dotkliwie uderzony, nie dał się przygłębić niepowodzeniem, lecz wywołał z duszy dzielność niezwykłą, rozwinął nadzwyczajną czynność, potężnych władz umysłu użył do poszukiwania prawnego strat poniesionych. Wytoczyła się sprawa przeciw domowi Thurneysen. Wszyscy, którzy naszego poetę znali, którzy wiedzieli jak zawsze mało był dbałym o materialny interes, z zadziwieniem ujrzeni w tej okoliczności rozwiniętą jego zdolność, zręczność, sprężystość. Lecz człowiek umysłem wszechstronnie wyższym okazuje się sposobnym do wszystkiego co przedsięwzię, nawet do tego co by jego skłonnościom i naturze przeciwnem było, i działa dzielnie zwłaszcza gdy uczuciem obowiązku jest ożywiony. Prawników francuzkich, osoby wysoko w hierarchii rządowej stojące, z którymi z tego powodu wejść musiał w stosunki, uderzyła jego potęga umysłowa „Słyszeliśmy o nim“ mawiały „jako o poecie znakomitym, o człowieku fantazji „i imaginacji, lecz z zadziwieniem poznaliśmy w nim człowieka „praktycznego z silną i wytrwałą wolą, wymownego i zręcznego „praw swych obrońcę, słowem równie zdolnego wznieść się nad „ziemię, jak łamać się z trudnościami na ziemi.“ Taki związek różnorodnych zdolności nie łatwo się spotykał. Nowe, nieznane dotąd, przy doświadczeniu tej przygody, objawiły się w Zygmuncie.

Bankructwo Thurneysena, w którym wiele kapitałów polskich utonęło, stało się bardzo głośnem w świecie. Czytaliśmy w dziennikach krajowych liczne oskarżenia rodaków, którzy w niem straty ponieśli, iż zamiast umieszczenia funduszków na ziemi ojczystej zamiast użycia ich na podniesienie przemysłu i rolnictwa w kraju, powierzyli pieniądze niewiernym rękom cudzoziemca. Skargi te bolesne pewnie były Zygmunтови. Kto tak jak on używał dostatków, kto zawsze był gotowy do wspierania niemi każdego szlachetnego i użytecznego przedsięwzięcia polskiego, czyja dłoń zawsze się dla nędzy otwierała, mógł być wolnym od tego rodzaju zarzutu. Nie każdy zdolnym jest do zawodu przemysłowego, nie każdy duchem przedsiębiorczym obdarzony. Ażeby zaś mózż świadczyć, wspomagać, potrzebował nasz Zygmunt mieć zawsze pod ręką fundusz w gotowiznie zebrany. Nie starał się on powiększać go nadając mu obrot giełdowy, chciał go zachować, i złożył go jako depozyt, na małym poprzesztając procencie.

Ojciec jego stęskniony do pociech rodzinnych, oczekiwa-
w ciągu lata 1857 roku, przybycia syna, synowej, wnuków, w wiejskim ustroniu w Potoku, gdzie był dom na ich przyjęcie przygotował i ozdobił. Synowa z wnukami połączyła się z nim w Czerwcu. Syn nieszczęśliwą sprawą zatrzymany, przybył w Sierpniu. Choroba trawiąca go, w nowym znowu kształcie objawiała się, walczył z nią jednak dzielnie, orzeźwiał się powietrzem wsi polskiej, a nawet udział przyjmował w rozrywce polowań, które dziad dla zabawy młodziutkich wnuków urządzać kazał. Lecz w tę rodzinę razem zebraną, niespodziewany cios ugodził. Dnia 12 Września, prawie nagle, śmierć wydarła z jej łona najmłodszą córeczkę Zygmunta, czteroletnią Elizę, dziecko uroczę, rysami do matki podobne. Te próbę nowej boleści przeżył Zygmunt jak na chrześcianina przystoi. Lecz cierpiał niezmiernie, cierpiał jak ojciec, cierpiał patrząc na boleść małżonki, która przecież niezwykłą siłę serca macierzyńskiego rozwinęła. Do ostatniej chwili nie odstąpiła ona zwłok ulubionego dziecięcia i sama ołówkiem gdy je w trumience złożono, rysy jego uchwyciła, nie bez łez obfitych. Po

tem nieszczęściu wzmogła się niemoc Zygmunta, musiał się z ojcem rozstać, i pospieszył do zaufanego lekarza Cheliusa w Heidelbergu. Krótki czas przebywszy w Badenie, sprawą Thurneysena powołany, udał się do Paryża, gdzie na zimę pozostał. Smutna to była zima, pełna cierpień. Napady kurczowe w żołądku ciągle go dręczyły. Mógł jednak jeszcze czasami wyjeżdżać i wychodzić; lecz żadnej pracy donośniejszej zdolny nie był. Dozwalał sobie niekiedy jedynej rozrywki, uczęszczania na teatru i na świetne prelekcyje o Mickiewiczu, na które Julian Klaczko wymową i ogniem czuciem, liczny tłum rodaków ściągał. Na wiosnę nowy smutek serce jego dotknął. Przyjaciół jego, ulubiony mistrz malarski, Ary Scheffer, nagle życie zakończył. Ktokolwiek zwiedził w Paryżu tegoroczną wystawę obrazów owego znakomitego artysty, kto się rozpatrzył w jego dziełach, łatwo zrozumie stosunek ducha naszego poety, do ducha artysty francuskiego, i przyjaźń, która ich połączyła. Z wystawy tej wychodzi się z pewnem rozrzewnieniem. Nie tyle podziwiasz w obrazach Scheffera sztukę mistrzowską, jak uczucie poetyczne, jak duszę człowieka. Był on bardziej poetą niżli malarzem. Zna wczy mogą wyznajdować błędy w rysunku, w kolorycie; lecz każdy widz z sercem, zrozumie serce artysty, fantazyę i wyobraźnię poety. Scheffer wiele czuł, kochał, przecierpiał, przemyślał; łatwo więc pojąć, że zrozumiał Zygmunta i był zrozumian przez niego. Przychylność jaką Zygmontowi okazywał, rozciągał i do jego rodziny. Kilkakrotnie uchwycił pędzlem rysy jego małżonki i dzieci, i jego także wizerunek wykończył. W nim szlachetność rysów naszego wieszczu wiernie oddał; lecz je wyrazem boleści szczególnie naznaczył. Dla Zygmunta powtórzył Scheffer swój wielki obraz z Dantego, przedstawiający Franceskę di Rimini, i jako pamiątkę przyjaźni ofiarował mu. Znajduje się on w Warszawie w pałacu krasińskich, i użyczył Deotymie natchnienia do jednej z jej piękniejszych poezyi.

Cierpienia fizyczne Zygmunta, przy tylu boleściach moralnych, wycieńczyły resztę sił jego. Ból w kolanie uśmierzył się,

lecz choroba wewnątrz się ukryła, i pustosząc najżywotniejsze organa, coraz niebezpieczniejszą się stawała. Dla tego też przystępując do poważnej rozmowy z jednym ze znakomitych cudzoziemców, gdy ten mu winał polepszenia zdrowia, ponieważ poprzednio widział go być na kulach, odpowiedział mu Zygmunt: „O nie! gorszy, niebezpieczniejszy mój stan dzisiejszy, wtenczas miałem do walczenia z nieprzyjacielem zewnętrznym, dziś mnie „wróg wewnętrzny trapi. Wtenczas była wojna, dziś początki „rewolucyjnego rozprężenia. Lepsza wojna niż rewolucya.“ — I w istocie wsławiony doktor drezdeński Walther zbadawszy dotknęte nie składtan chorego, pierwszy dostrzegł, że płuca jego dotknięte były, i że ogólny stan zdrowia może się rychło pogorszyć. Na lato zalecił mu u wód kuracyę, na zimę pobyt w cieplejszych krajach. Udał się Zygmunt do wód w Plombières, lecz ulgi tam żadnej nie doznał. Gdy napad bolesny nie dozwolił mu być pośpieszyć do Drezna na początku lata, dla spotkania się z ojcem wracającym z Cieplic, a że nie przewidywał możności połączenia się z nim w kraju w prędkim czasie, z Plombières wybiegł do, Trouville, gdzie małżonka jego z dziećmi u kąpieli morskich znajdowała się, dla uproszenia jej, aby go przy ojcu zastąpiła i wnuki mu zawiozła. Stało się jak sobie życzył. — On zaś do Ems się udał, lecz wody te w słabościach piersiowych skuteczne, zbyt silnie działały na wnętrze osłabione i wyniszczone. Nie dokończywszy kuracyi, pojechał do Drezna, i tam miesiąc pod okiem doktora Walthera pozostał. Ten z przerażeniem ujrzał postęp złego, i najusilniej zalecał spieszny wyjazd do Włoch lub Algieryi. Podróż ta nie dogadzała choremu. Od lat dwóch bacznie straż rozciągając nad wychowaniem synów, ani rozłączyć się z nimi, ani przyjętego trybu nauk przerwać nie chciał, zezwalając aby mu w podróży towarzyszyli. Już wtenczas objawił się u niego symptomat właściwy chorobie piersiowej, symptomat poddawania się ciągłego złudzeniom. Czuł chory, że słabną siły, że złe wzrasta, przecież wszelką myśl niebezpieczeństwa odpychał, choć mu prawdy lekarz nie taił. Oświadczył nareszcie, że

nim na wyjazd na południe zgodzi się, chce jeszcze w Paryżu zasięgnąć rady doktora Louis, szczególnie wslawionego w leczeniu piersiowych słabości. Zatrzymawszy się nieco w Badenie, gdzie się z rodziną połączył, przybył w Listopadzie do Paryża. Doktor Louis przekonał się o nieomyślności spostrzeżeń Walthera, lecz poznaawszy w chorym wrażliwość umysłu i żywość wyobraźni, bojąc się upadku sił moralnych, nie wyjawiał przed nim całej prawdy, zaspokoił go co do grożącego płucom niebezpieczeństwa, i tem umocnił go w postanowieniu pozostania na zimę w Paryżu.

— Lecz zaledwie usadowił się, i rozpoczął przepisana kurację, wiadomość telegraficzna o niebezpiecznej chorobie ojca uderzyła w niego gromem. Sam nie mógł do niego pospieszyć; ale i tu małżonka jego, używszy zaledwie chwili odpoczynku po utrudzającej podróży, zastąpiła go powtórnie. Z narażeniem zdrowia, nawet życia, lecz dogadzając własnej i najżywszej męża troskliwości, dniem i nocą bez wytchnienia do Warszawy podążyła. Dni jej podróży były dniami największego niepokoju Zygmunta. Choć codziennie odbierał telegraficzne o ojcu wiadomości, choć niektóre bywały zaspakajające, lękał się każdej chwili opóźnienia, pragnął wiedzieć, że wśród ciężkiej niemocy, chory czuje się otoczonym jego synowską miłością, widząc przy sobie ukochaną synową. Dnia 24 Listopada w parę godzin po jej przybyciu oddał Boga ducha generał Krasinski. Nie można było długo przed synem zataić, że już ojca nie miał. Dowiedział się o swem nieszczęściu 26 i boleść jego nie miała granic. Rozdzierający był widok chwili, w której przywoławszy synów, nakazawszy im, wraz z sobą modlić się za duszę dziada, tym nakazem im wyjawiał, że dziad nie żyje. Była to modlitwa łez, którą wszyscy trzej wzniesli do Boga. Od tego dnia całą duszą oddał się Zygmunt modłom i nabożeństwu za ojca, i wspomnieniom po nim; zgoła się odosobnił. Zaledwie cztery najpoufalsze osoby przypuszczał do siebie, takie których przyjaźni ufając, z pełni serca mógł o ojcu rozmawiać które też jego ówczesne uczucia we wszystkich odcieniach pojmowały. Uczucia te były na-

der boleśne, i nie jednego rodzaju boleści. Wśród nich parę miesięcy przebył, wśród nich tracił ostatnie siły. Śmierć ojca w sam środek serca go ugodziła. Ulgę w cierpieniu przynosiło mu spisywanie jego żywotu. Kreślił go w języku francuskim dla rzeźbiarza włoskiego, któremu wykucie postaci ojcowskiej chciał powierzyć, chcąc ją umieścić na grobie. Ranne godziny poświęcając tej pracy, orzeźwiał się świetnymi wspomnieniami młodości ojca. Bąc co bąc, pracę tę tylko do połowy, do r. 1827 doprowadził. Wedle swego zwyczaju codziennie pisywał obszerne listy do żony; sam wstrzymywał jej powrót, nietylko wyraźnym nakazem ciągle powtarzanym, ale jeszcze zapewnieniem, że nie czuje postępu choroby, ale szczególnież niezmienną siłą umysłu, ba nawet ręki pióro trzymającej która woli jego posłuszna być musiała. Zwodził siebie, zwodził oddalonych, nieszczędził wysileń, które zupełne wyniszczenie przyspieszały. Przytomna rodzina żony, przyjaciele, nalegali na niego, żeby żadnego środka ratunku nie zaniedbując, spieszenie na południe wyjechał. Odpychał ich przełożenia z żywością, a jakoby nie przeczuwał bliskiego końca, żądał raz odemnie przyrzeczenia, że następnej zimy, w podróży do Algieryi towarzyszyć mu będę.

Przy rozwijającej się szybko niemocy, przy trudzących umysł, a bolesnych dla serca ówczesnych zajęciach, nie stał się na chwilę obojętnym na bieg wypadków europejskich, których nowy obrot i kierunek przewidywał. Był on głęboko przekonany, że jedynie uznanie praw wiecznych, niegdyś przy urządzaniu się stanowczem społeczeństwa chrześcijańskiego, od Boga narodom nadanych, że przyjęcie tych praw za zasadę w ustawie międzynarodowej, może zabezpieczyć świat od zawichrzeń i rozprzężenia rewolucyjnego, a razem ustalić jego porządek i pokój. Przejęty był wiarą, że miłość istotna, miłość chrześcijańska, dopiero po wymierzeniu ukrzywdzonym sprawiedliwości upowszechni się na ziemi; ufał że przyjdzie czas, w którym Bóg przez wybrańca swego przemówi:

Rzeki porzcie koryta — podnieście się góry,
 Zawrzyjcie przepaść — stańcie narodom granicą,
 Według znamion wrytych na nich mą prawicą.
 Rozrózńjcie plemiona, a serca się spoją,
 I zatleją miłością ludzkości, i moją. *)

Z natężonym więc umysłem uważał przygotowujące się wypadki. W ostatnich nawet chwilach, na dwa dni przed zgonem, już słabym głosem i niewyraźnem słowem pytał o nie. Dusza jego była pełna przeczucia wielkich wydarzeń.

Przy końcu stycznia połączył się z nim dwudziestokilkoletni jego przyjaciel książę Jerzy Lubomirski i najczulszą otoczył go pieczołowitością. Wtem choroba nagle, przerażające zaczęła czynić postępy, i na wynędzniałej twarzy, widocznymi objawiła się znakami. Sam poczuł zbliżające się niebezpieczeństwo. Dość ulegając przekonaniu, że obowiązkiem jego było żądać od żony tej ofiary, aby go w Warszawie w urzędzeniu spadku po ojcu zastąpiła, wstrzymywał jej powrót. Teraz sam ją przywołał głosem smutku i zwątpienia o sobie. Narada trzech lekarzy paryzkich, a następnie zdanie przybyłego z Drezna Dra Walthera stwierdziły smutne przewidywania. 13 lutego legł na łożu niemocy, i już się z niego nie dźwignął. W tym go stanie zastała małżonka, która dopiero za przybyciem przekonała się o całej okropnej prawdzie. W innem miejscu **) opowiedziałem ostatnie chwile jego. Tu tych bolesnych szczegółów powtarzać nie chcę. Pokrzepiony na duszy rozgrzeszeniem spowiednika, modlitwą wzniesioną za nim przy mszy przez Ojca świętego, pociechami i pomocą wiary, gasł przez dni dziesięć i zgasł o północy z 23 na 24 lutego. Wiadomo jest jaki był żal rodziny, przyjaciół, ziomków w kraju i za krajem, wiadomo jaki obchód pogrzebowy. Trumnę złożono do czasu w sklepie podziemnym ś. Magdaleny. Rysy pozgonne Zygmunta wydarła śmierci i sztuka rzeźbiarza, i fotografa, i ołówek rysownika. Niewypowiedziany smutek, łagodność i cierpienie odbiły się w nich. Dnia 30

*) Stefan Czarniecki pieśń VIII wiersz 810.

**) *Ostatnie chwile Zygmunta Krasińskiego.* — Artykuł w Dodatku kwietniowym do *Czasu* umieszczony.

maja zwłoki jego wyprowadzono z kościoła ś. Magdaleny. Zaszczytną straż nad niemi, podczas przewiezienia ich do kraju, z skwapliwością zacnego serca, przyjął hrabia Zamojski. W dniu 2 czerwca o północy przybyła z niemi do Warszawy rodzina zmarłego. Złożono je w kościele OO. Kapucynów. Na drugi dzień odbyła się tamże przy nich msza cicha. Mała liczba rodaków o obrzędzie zawiadomiona była; hołd więc publiczny uroczystym stać się nie mógł. Przybyli ci mianowicie, co wiedzieli że się przy trumnie Zygmunta wzniesie modlitwa za jego duszę. Aż na Pragę wszyscy obecni pieszo towarzyszyli drogim zwłokom, które do Opinogóry miejsca wiecznego spoczynku rodziców zmarłego przewieziono. Pospieszyli za niemi najbliżsi krewni, przyjaciele. Dnia 4go odprawiło się tam nabożeństwo żałobne, po którym w kaplicy Opinogórskiej między trumną matki i ojca, złożono tymczasowo trumnę Zygmunta.

Jenerał Krasiński wyznaczył ostatnią wolą, znaczną kwotę na wybudowanie nowego kościoła w Opinogórze. Świątynia ta wzniesie się staraniem synowej i wnuków z urządzonym grobem rodzinnym. Tam kiedyś owe trzy trumny przeniesione zostaną, tam w dalszych czasach potomkowie Zygmunta znajdą wieczny spoczynek. Znajdą go obok najznakomitszego z przodków swoich, który nie znaczeniem, nie dostojenstwem, nawet nie czynami głośnemi za życia, ale w nagrodę jakoby natchnienia, cnoty, niezłomnej miłości i wiary, najczystsza, najświetniejsza pamięć w sercach rodaków i w dziejach ojczystych ma zapewnioną.

Dochodząc do kresu mego zadania, czuję jak się niedostatecznie z niego wywiązałem. Ci, którzy znali zmarłego o tę niedostateczność sprawiedliwie mnie obwinia, ci którym osobiście znany nie był, jeszcze go całego z słów moich nie poznają. Nie wolno mi było wszystkiego o nim powiedzieć, nie wolno przedstawić całej dramatyczności jego żywota, wszystkich jego cierpień. Jak wiele boleści, tak wiele ukrytych czynów i zasług zataić całkiem musiałem; ani też mogłem odkryć jego tajemnej hojności i dobroczynności niewyczerpanej. Z drugiej

strony może na siebie ściągnę zarzut, że wspomnienia zbyt licznych i drobnych szczegółów dozwolił sobie. Lecz kiedy kochamy kogo, a przyjdzie nam go stracić, każda najdrobniejsza pamiątka jest drogą. Mnie się zdaje, że zebrane tu wiadomości mogą się okazać przydatne dla przyszłego życiopisarza.

We wspomnieniu o ostatnich chwilach Zygmunta*) starałem się już przedstawić niektóre rysy człowieka, prawowiernego i przekonanego katolika, syna, męża, ojca, przyjaciela, współbrata współbraciom. Nie powtórzę tu obrazu tego, ani się będę nad zmarłym zastanawiał jako nad pisarzem i wieszczem. To tylko nadmienie, że gdybyśmy dla miłości, która mu dostarczała wieszczych natchnień, porównania w świecie starożytnym szukali, tylko do Orfeuszowej miłości porównałbyśmy ją mogli. Jak Orfeusz Eurydykę, tak on *Tę* od nas wszystkich ukochaną, którą *swoją Panią* nazwał, miłował i śpiewał umarłą, z dniem wstającym i zachodzącym **) Jak on, dźwiękami rzewnemi rozczulał skały, głązy i dęby, jak on, dla niej odważył się na przejście przez piekło, w nadziei że ją z pośród umarłych wyrwie.

Ah miseram Eurydicen, anima fugiente vocabat. ***)

Zygmunt Krasiński należał do tego plemienia polskiego, któremu nie było już danem odznaczyć się w życiu publicznem; naród jednak cały znał go, ezczył i kochał. Bo kto tak jak on czuł, mówił i pisał, ten się czynem zasłużył; wpływ jego ducha nie przeminie z nim razem. Uczucie jego wsiękło w duszę ogółu, oby w niej i wszelka jego przyjęła się nauka!

Dopóki kreśliłem te wspomnienia, te słowa żalu po utra-

*) Zobacz *Dodatek do Czasu* kwietniowy.

**) Te, veniente die, te, decedente canebat.

Virgiliusz IV księga Georgików, w. 465.

***) Do Pieśni Zygmunta zastosować się da to prześlizne Virgiliuszowe porównanie do śpiewu słowika, któremu okrutny wieśniak wydarł z gniazda pisklęta, i za którym on żalostną pieśń ciągle ponawia, smutnemi skargami szeroko okolicę zapelniając:
Qualis populea moercus philomela sub umbra,
Amisso queritur foetus, quos durus arator,
Observans nido implumes detraxit; at illa
Flet noctem, ramoque sedens miserabile carmen
Integrat, et moestis late loca questibus implet.

Virgiliusz Georgiki w 105.

conym przyjacielu, łudziłem się, że z nim jeszcze przebywam, że mam przed sobą jego dostojną postać. W tej chwili gdy pióro składałam, zdaje mi się, że na żalność nowego i ostatecznego rozstania skazany. Lecz nie, dla nas chrześcian ostatecznego rozstania niema. Wierzmy, że zasługi, cierpienia Zygmunta, wyjednają mu miłosierdzie Boże i wieczystą nagrodę. Wierzmy, że strzegąc acz niedostatecznie, lecz z dobrą wolą, wzoru jaki nam zostawił, bo życie jego we wzory dla każdego z nas obfituje, zasłużymy sobie na połączenie się z nim wiekuiste. A i tu na ziemi, aby to czego pragnął spełnić się mogło, aby cześć nasza dla niego nie była jałową, pamiętajmy, że nie słowami niedołężnymi wyrażać ją mamy. Chowajmy jego nauki, przejmujmy się jego uczuciami; tak jedynie oddamy mu hołd na jaki zasługuje, i o jaki się od nas z łona Ojca Niebieskiego dopomina.

Listy ZYGmunTA KRASINSKIEGO

o
Poemacie Stefan Czarniecki.

List I.

Do Kajetana Koźmiana.

Warszawa, 23 marca 1844.

Przyznaję prawdę całą, zrazu z uprzedzeniem, dalej z zamięciem, później z rosnącym uwielbieniem, wreszcie z miłością słuchałem i czytałem Czarnieckiego. Bo miłość to stosunek ducha do piękności, a Czarniecki pięknym jest. Oto ogół wrażenia; teraz jeżeli pozwolisz łaskawy Panie, wspomnę o niektórych szczegółach i całość ukochwawszy, dla tego właśnie że ją kocham, drobnostkom pewnym ją nadwyreżającym opierać się będę. Ani myślę sprzeciwiać się zdaniu czcigodnego Pana, że w naszej rzeczypospolitej, rzymska i chrześcijańska cnota, rzymskie i chrześcijańskie wyobrażenia, harmonijnie się zespoliły. Oryginalność nawet charakteru polskiego, wyniknęła z zawarcia w sobie zgodnego

i niewymuszonego, dwóch tych różnorodnych światów, ku poje-
dnaniu i zespoleniu których, dopiero teraz reszta europejskiego
świata dąży! Ale racz uważać, że każdy Polak ni sztucznie ni
matematycznie, dodając jeden do drugiego, te dwa pierwiastki
w sobie mieścił, ale żywotnie! Był jako Rzymianin, był jako
chrześcianin, ale nadewszystko był Polakiem, tak że w nim roz-
dzielić się nie dadzą te składkowe części, ale muszą żyć prze-
pojone sobą, jak żyją w trzeciem ciele dwa inne co je chemi-
cznie złożyły, stały się niem; nie są już sobą, a jednak owe
trzęcie, tylko z nich się składa. Dla tego Czarniecki choć miał
Godfryda w sobie, nie był Godfrydem, choć Scypiona, nie był
Scypionem, ale czemsiś trzeciem, inszem, zwanem duszą żywą
Stefana Czarnieckiego, duszą polską! Ztąd to wynikła krytyka
moja, ostatnich o nim wierszy, przesłanych w liście do Jędrzeja.
Przecudne jest jako efekt i jako prawda zdaniem mojem za-
przeczenie, którem wieszcz odrzuca Achillesa i Hektora, wprzód
postawiwszy ich posągi za miarę Czarnieckiemu, ale podobnie
powinien uczynić z Godfrydem i Tankredem, i ich postawić na
chwilkę, i ich też obalić a dopiero wtedy zawołać:

To on, to szlachcic polski, wódz sarmackich wieków ¹⁾.

Gdybym śmiał ręczyć, tobym ręczył, że w tem uczuciu mojem
jest prawda, że w tem pojęciu Czarnieckiego jest życie, że on wła-
śnie tem a nie czem innem był na ziemi, i że mu takie zosta-
wić lice, jest na nowo go stworzyć. Zresztą spostrzeżenia
względem tego miejsca, rozciągnąłbym do całego poematu, do
całości Polski, która w tej epopei objawić się i odsłonić powinna.

¹⁾ Uwaga ta stosuje się do następujących wierszy z Pieśni III od 87 do 92.

Lecz sam Czarniecki włada stolicy odporem

On, Polski Achillesem, Krakowa Hektorem.

Ale precz bohaterzy dawnych Rzymian Greków,

To jest wódz, to bohater chrześciańskich wieków

Nie strwożony gromami, bo przed grzmiącym spížem,

Zasłania się zarówno orężem jak krzyżem.

Pierwiastkowo autor po odrzuceniu porównania z Achillesem i Hektorem,
z Godfrydem i Tankredem porównywał wodza polskiego. Idąc za radą trafnej kry-
tyki wypuścił wiersz mieszczący to zbliżenie. Żałować należy, że się w zupełności
do uwag przychylnego krytyka nie zastosował.

Wcale więc a wcale nie sprzeciwiam się wspominaniu Rzymian i Greków, jednak sędzę, że raczej osoby mówiące w epopei ich wspominać powinny, niż sam wieszcz, bo osób tych to było obyczajem. Wieszcz zaś obyczaju swego własnego w epopei mieć nie może, jedno całkowite życie epoki. Jej lice schwywane we właściwej barwie jego obyczajem. Jak stwórca wyższym on być powinien od stworzonych i pojmować ich wszystkich razem, i ich wszystkość całą, kiedy oni, to jest każdy z nich, tylko siebie pojmuje. Z tego stanowiska właśnie krytykując, pyszną mi się wydała rozmowa między królem szwedzkim i Wąsowiczem; obie strony mówią każda swoje ²⁾ a po nad nimi znać wtedy ich stwórcę, który jest *sine ira et studio* jako sama prawda.

Epopei wieczną wymagalnością, celem ostatecznym jest takiego pokoju osiągnięcie, a osiągniwa się wymierzeniem każdemu sprawiedliwości. Sprawiedliwość zaś na niwach sztuki, zdaje mi się, że to właściwe lice, właściwy życia koloryt, oddany każdemu z tych trupów wielkich, o których ona wspomina. Gdyby na przykład Spartakiem Chmielnickiego nazwał był jaki pan polski ³⁾ tobym całem sercem na to się zgodził, ale zdaje mi się, że

²⁾ Słowa te odnoszą się do ustępu z Pieśni IV od wiersza 87 do 130 w którym Wąsowicz przybywa do obozu Karola z żądaniem wydania zwłok młodego Byliny Król pyta go o urodzenie młodzieńca i dodaje:

Z tego poselstwa sędzę i nie bez powodu,
Że on pochodzi z Książąt albo Hrabiów rodu.

Wąsowicz w odpowiedzi objawiając wyobrażenia prawdziwie polskie o godnościach i tytułach dodaje:

Obce zaszczyty Królu naszych żądz nie wabią,
Wszyscyśmy równi Hrabiom, acz nikt nie jest Hrabią.

i kończy mowę temi słowy:

Wszyscyśmy wyborcami królów, wszyscy braćmi,
I niewiem jaki zaszczyt może temu sprostać,
Wybierać sobie królów, i móżdż królem zostać.

Na to uśmiechnął się Karól i zdanie swoje o szlachcie polskiej powiedziawszy dodaje:

Tyrani królów — możnym służą niewolniczo
I sądzą się wolnymi, że na sejmach krzyczą.
Taką wolność i równość wraz z królów wyborem,
Nie nazywam ja rządem, lecz rządów potworem.

³⁾ W pierwszej Pieśni autor w wierszu 15 nazwał był Chmielnickiego Spartakiem. Nim srogięgo Spartaka skarcił bunt zbrodniczy,
Wyrwał skrwawione łupy Tamerlana dziczy.

Idąc za radą krytyki przywrócił zatrute imię Bogdana.

w inwokacji początkowej, bardziej czytelnika każdego przeszyje pierś, zatrute imię Bogdana, aniżeli Spartaka nazwa. Dzwon Zygmunowski jak rozbrzmiał się w duszy mojej, tak coraz potężniej grzmi, takie ⁴⁾ wiersze przeciągają dźwięk takich dzwonów w najodleglejszą przyszłość, one same są żywymi *sercami* bijącymi nad dusz słuchających poziomem; — i owe któremi Kazimierz tłómaczy czoła swego wypogodzenie arcypięknymi mi się wydały. Ośmieliłem się *śmiertelnych* na *śmiertelnej* przemienić ⁵⁾. Czy nie czujesz łaskawy Panie! że tę śmiałość moją trzeba mi przebaczyć, bo majestat wiersza przez nią się podniósł. Dalej nie chcę mojemu nudzić uwagi, czuję i wierzę, że Czarniecki wielkiem dziełem będzie, za każdą pieśnią więcej *Ecce Deus* w piersiach wieszcza znać; taki wzrost, taki postęp, taka potęga znamieniem jest wszelkiej prawdziwej piękności i przyszło mi na myśl czytając te pieśni, że w tobie trzecim łaskawy Panie za dni moich, powaga starości cudnie się zmieszała z młodzieńczym natchnieniem i energią. Dwaj inni są jeszcze, choć w innych okręgach ducha. Com uczuł to piszę, prawdę mojego uczucia. Jeżeli w czem błędę racz mi łaskawie darować i przyjąć z głębi serca mego wynikłe dzięki za tkliwą i powtarzaną wciąż pamięć. Serdecznie przywiązany i wdzięczny

Zygmunt.

P. S. Co zaś do dalszej osnowy, czyby nie warto dać Stefanowi *conscientiam* przyszłości Polski, której zapewne nie miał

⁴⁾ Odnosi się ta wzmianka do ustępu Pieśni IV od wiersza 145 do 158, w którym opis dzwonu Zygmunowskiego poruszonego na uczczenie pogrzebowe młodego Byliny.

⁵⁾ Mowa tu o ustępie z Pieśni V od wiersza 661 do 670 w którym Kazimierz w Częstochowie odbywszy spowiedź, wyraża Sztembergowi uspokojenie duszy:

Król na to: Dotąd ciężar zgryzót mię uciskał.
Dziś król wasz utraczone królestwo odzyskał.
Nie to znikome, nędzne, którego nizina,
Rzeki łez i potoki krwi śmiertelnej płyną,
Lecz to w którym Bóg władczą, Marya ozdoba;
Walczyć o nie potrzeba, lecz samemu z sobą.

W czwartym wierszu tu przytoczonym autor położył był *krewi śmiertelnych*: idąc za uwagą krytyka poety przemienił ostatni wyraz na *śmiertelnej*.

w myśli swojej, choć ona koniecznie z czynu jego wytryska. Niemożnażby niektóre prorocze chwile, błyskawice przelotne przecucia ogromnego, wlać w serce tego człowieka, tego pierwotnego wzoru wszystkich mających kiedyś skupiać rozebrane części i ratować kraju całość? My dziś już możemy widzieć ku czemu Polska na świat ten zesłana stąpa! możemy krzyża Chrystusowego oświeceni światłem, pojąć co znaczy podobny krzyż wystawiony na przejściu z jednej epoki do drugiej. Krzyż na którym nie już Bóg — człowiek, ale naród jako jeden człowiek kona. Czyż to nie święta tajemnica także? Czyż to nie znak wielkiej przemiany? powszechnego zmartwychwstania? Czyż na polu śmierci naszej, na politycznym polu, przez tę śmierć nie mamy się spodziewać wykupienia także i dla nas i dla całej ludzkości? Czyż w piersiach Polski tej drugiej Matki Bolesnej, niema także się urodzić Duch wszelkiej miłości i sprawiedliwości w stosunkach świeckich, którym dotąd panował tylko książę świata tego Machiavel. Więc bohater, więc ideał Zbawicieli kraju, niech to przeczuwa, bo Czarniecki epopei dziś pisanej, nietylko jest już Czarnieckim dni przeszłych! Ponieważ wieszcz drugim go obdarza życiem, już poniekąd on należy i do tej epoki, w której zmartwychwstaje. Poezya znaczy tworzenie. Niech ten wielki umarły z rąk twoich Panie weźmie część i naszego życia, tem i nam i jeszcze lepiej będzie, bo uwierzym w to — jemu, bo doskonale i zupełnie odżyje w nas. W tem anielskie posłannictwo poety że wskrzesza, lecz niezupełnieby wskrzeszał, gdyby nie więcej przebudzonemu nie dawał, nad to z czem on położył się w trumnę. Przeszłość i przyszłość cała powinny zetknąć się, ścierać się w takim ideale, a wtedy o nim wyrzeknie potomność, żeś go także przed ludzi oczyma:

wskrzesił

Między niebem i ziemią w powietrzu zawiesił *).

*) Wiersz z opisu dzwonu Zygmuntowskiego.

I ku sławieniu wieków, które w Polsce wskrzesił,
Między niebem i ziemią w powietrzu zawiesił.

List II.

Do Andrzeja Koźmiana.

Warszawa, 20 stycznia 1845.

Kochany Jędrzeju! Nie gniewaj się na mnie żem nie od-
pisał ci, i że nie pisuję. Ta zima zupełnie mnie znicestwiła.
Codzień gorzej zapadam, i w mózgu cierpień niesłychanych do-
znaję. Wydaje mi się czasem że mnie już niema, i wtedy szu-
kam siebie samego i odnaleźć nie mogę. Ale dajmy pokój temu!
Wolę o czem innem, o życiu mówić niż o braku życia. Więc
mówić będę o Czarnieckiego odebranej pieśni; zacząłem ją czytać
ogromnie znękany, nastrojon na najniższy, najmdlejszy ton ducha,
a wnet uczułem w sobie trupa zmartwychwstającego. *Ecce Deus*
z niej w moją pierś się przerzucił. Wezwanie do Najświętszej
Panny ⁷⁾ wieś Czarnieckiego ⁸⁾ i król Szwed wśród grobów Ka-
tedry ⁹⁾, najsilniej pchnęły mnie w serce. Uderzyło mnie nie-
zmiernie podobieństwo zachodzące między pewnymi uczuciami
mowy hetmańskiej do niedorostków, którym przyszłe przeznacza
koleje, a w dzisiejszym powietrzkregu ulatującymi marami ¹⁰⁾.
Czy poeta chciał, czy też pomimo woli tak mu z konieczności
natchnienia wypadło, to pewna iż ujął obraz żywej terazniej-
szości i rzucił się *in medias res* z taką dobitnością, mocą, z ta-
kiem do chwili i miejsca przypadnieniem, że najpotężniejsze na

⁷⁾ Pieśń I wiersze od 37 do 47.

⁸⁾ Ustęp z Pieśni VII od wiersza 555:

Tak gdy imię Stefana dla Szwedów postrachem,
On spokojnie przemyśla pod rodzinnym dachem.

aż do wiersza 722.

⁹⁾ Ustęp z Pieśni VIII od wiersza 863 do 990 to jest do końca pieśni.

¹⁰⁾ Słowa te stosują się do rozmowy Czarnieckiego z niedorostkami wiejskimi
z Pieśni VII od wiersza 695 do 720:

„Ty“ mówi do jednego, „będziesz Petyhorcem
„Kto dobrze macha kosą, machnie i proporcem.
„Ty widzę silnie ciśniesz podjezdka kolanem,
„Będziesz miał kołpak z kitą, zrobię cię hułanem.
.....
„Niechaj tylko przed wami ukłęką pohańcy,
„Nazwę was Czarnieckimi, bo idziecie z Czarący.
„Będziecie bracią szlachtą, sam was po nagrodę,
„Jak rycerzy, do króla i sejmu powiodę.

czytającym wywiera wrażenie. Jak powiedziano, że słowo stało się ciałem, takby tu można powiedzieć, że ciało stało się słowem, i że w tem słowie odbiły się wszystkie w okół ruszające się ciała. Doskonale zapewne wiesz i w pamięci trzymasz, do jakiego miejsca stósuję te uwagi — tam jest przepyszny wiersz co się kończy *zbroi*, następny to jest trzeci od niego, kończy się *żywi i broni*. Otóż ta cała mowa Czarnieckiego jest arcy-dziełem ¹¹⁾ bo jest arcy-dzielną, arcy-naturalną, dziwnie nie przeszłą acz w przeszłości powiedzianą. Wiersze: „*pospołu, dmie się garść popiołu*“ takie Szekspirowskie, że aż strach bierze ¹²⁾! Potem owe historyczne: „*Zmienna a Bóg cuda czyni*“ ¹³⁾, jakżeż wybornie przypada. Cała ta wędrówka żyjącego mocarza, wśród marmurowych pomników, Dantejską jest. Ta niewzruszoność, ta bezwładność otaczających kamieni, których tłómaczem proroczy kapłan, przeraża i do dna serce ziębi. Fatum starożytne zdaje się wychylać z tych grobów, i milczeniem kamiennem stokroć więcej zapowiadać, niż gdyby jakie cienie wstały, lub Furie z Tartaru przyszły gonić za Karólem. Rzeczywistość tu najprostsza i najwyższa poezya, razem się zeszły, tak że nic ani ująć ani przydać nie sposób. *To pięknem, pięknem jest!* Za zdarzoną sposobnością odeślemy exemplarz. Teraz tylko spieszę

¹¹⁾ Wiersze o których tu wzmianka są następujące:

Pług szlachcica nie wstydzł, oręż kmiecia szczyty,
Dłoń stwardniała przy radle silniej szablę schwyci,
Biada temu co podło wstydzi się lub boi
Okryć siermięgę zbroją, lub siermięgą zbroi.
Rzecznik żyje z języka, kupiec z gwichtów dłoni,
Więcej wart od obydwóch, kto żywi i broni!

¹²⁾ Mowa o wierszuz ustępu, w którym wystawiony Karol zwiedzający na Wawelu groby królów polskich.

A umysł ślepy dumą pamięć z myśli strada
Że te prochy władały, tak jak on dziś włada.
I jakby nieśmiertelność wziął z bóstwem pospołu,
Przy urnach z popiołami dmie się garść popiołu.

¹³⁾ Zakończony ten ustęp słowami Starowolskiego:

Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni,
„Królu fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni.“

Wiadomo jest z dziejów, że Starowolski temi łacińskimi słowy „*Fortuna varia-bilis, Deus mirabilis*“ odpowiedział Karolowi, gdy ten przy grobie Łokietka rzekł: „Łokietek wasz wrócił, lecz Kazimierz nie wróci.“

z wynurzeniem doznanego uczucia i z podziękowaniem za nie, bo spadło na mnie, jak światło, na głowę od wielu dni drzeмиącą, wśród nieznośnych a grubych ciemności. Złóż, proszę cię odemnie najgłębsze uszanowanie ojcu i dziękczynienia, które nie ja tylko jeden składać mu będę — moje będą tylko niedowiedzianą cząsteczką tłumy wielkiego onych, które *kiedys* jednogodnie mu się odezwą. Niech raczy z daleka mi pobłogosławić; może to błogosławieństwo silnego i natchnionego pomoże schorzałej duszy. Niech Bóg czuwa nad Tobą i wszystkimi, których ukochałeś, i którzy cię kochają — tem samem jak widzisz i ja polecam się Bogu.

Twój. —

List III.

Do Kajetana Koźmiana.

Warszawa, dnia 23 czerwca 1845.

Drogi i łaskawy Panie! Nędzne zdrowie i przy tej nędzy ciała pewne ducha omartwienie, przeszkodziły mi odpisać na list tyle łaskawy, przed dwoma miesiącami odebrany. Lecz kiedy znów mi teraz serce Czarniecki iskrą elektryczną przeszył, pozwolisz drogi Panie! że kilką słowami się odwdzięczę. Rośnie i dzieło, wzmacnia się i duch, znać krew wrzącą w żyłach wierszy. Epizoda o Tatarach¹⁴⁾ przepyszna, radziłbym tylko nieco ująć z nazwisk archeologicznych, bo to opowiada wiarus, starożytności nieumny. Rozmowa Stefana z królem¹⁵⁾ przypomina mi w osobie króla, tego gwałtownika, najeźdźnika i chytrego podstępника zarazem, jedną z najsroższych figur historycznych społecznych. Zdało mi się że to obecny dzień, i że Stefan zmartwychwstały odpiera pokusę żywego kusiciela! Tak to przeszłość staje się teraźniejszością, gdy nią być poeta rozkaże jej. Może za długie nieco wyliczanie przez Stefana sposobów, któ-

¹⁴⁾ Ustęp o Tatarach znajduje się w Pieśni VI od wiersza 345 do 550. Ustęp ten przed kilkunastu laty wydrukowany był najprzód w *Przyjacielu Ludu*.

¹⁵⁾ Z Pieśni VI od wiersza 555 do 660. Mowa Karola zaczyna się od wiersza: Wodzu obaśmy godni siebie zapaśnicy,
Czas jest skończyć spór krwawy podaniem prawicy.

remi zamierza nękać króla ¹⁶⁾, możeby ujęcie wierszów kilku, wzmocniło wrażenie całej mowy tej, która się kończy groźbą „za morza cię przerzuciem.“ Ale i w widzeniu się z królem i w epizodzie o Tatarach, wszędzie równa utrzymana siła i piękność epepeiczna. Kawałek później nadesłany, gdzie Kmicianka złorzeczy losom, jeżeli śmiem zdanie wyrazić, nieco odbiega od natury serca rozkochanego. Skoro się dowiaduje o olśnieniu kochanka, nie wyrzekać ale pobiedz powinna do niego, pobiedz by mu za towarzyszkę wieczną się zaofiarować. Dopiero gdy zastanie że już *poświęcony*, wtedy wolno jej złorzeczyć, bo duchowa zaporą stanęła nieprzeparta między nim a nią. Dopóki się nie przekonała o tem, dopóty niech dniem i nocą, lotem strzały, biegnie rzucić się w objęcia ślepego, stokroć droższego od chwili, w której losu ręka przekrzywiła jego życie! ¹⁷⁾ Oto są uwagi, które drogiemu Panu ośmielam się podawać, racz rozważyć czy się nie mylę, racz przebaczyć że z krytyką moją

¹⁶⁾ Pierwiastkowo autor umieścił był w odpowiedzi Stefana na kuszącą mowę króla, ustęp, w którym opisuje tryb wojny jakiego chce przeciw niemu użyć. Jest to zręczny, godny uwagi, opis wojny partyzanckiej. Później uznawszy słuszność spostrzeżenia, że Czarniecki nie powinien wydać się przed Karolem, z tajemnicą sposobu wojowania jakiego się chwyci, przeniósł autor ten opis w inne miejsce. Kładzie go w usta Czarnieckiem wśród rozmowy z Sobieskim, gdy ten przybywa do niego do Czerłęc z wezwaniem aby znowu oręż przeciw Szwedom podniósł. Czarniecki związany słowem oświadcza wówczas że póki czas rozejmu nie przejdzie, walczyć nie może, dodając:

Ależ broń wiarolomna nie walczy bezkarnie,

Sam Bóg krwią na nią wyrok zapisał przy Warnie.

Ustęp o trybie wojny ułożonym przez Stefana, znajduje się więc w Pieśni VII od wiersza 801 do 830 i zaczyna się od słów:

Mówi: „Samą odwagą Karola nie zmożem,

„Zwyciężym go, gdy wojnę po kraju rozmnożem.“

Kończą go wiersze:

Aż go z ojczyzny naszej za morza przerzuciem.

A i tam mścić się jeszcze i tam krzywd dochodzić,

Chociażby przyszło rzeki, i morza wpław zbrodzić.

¹⁷⁾ Mowa tu o epizodzie Kmicianki i młodego Szembeka, której początek znajduje się w Pieśni IX od wiersza 749 do wiersza 1224. Rozwiązanie zaś całej rzeczy jest umieszczone w Pieśni XI od wiersza 167 do 338. Ten ustęp Kmicianki jej miłość dla Szembeka, jej ślubów zakonnych przerwanie i zamienienie na śluby małżeńskie z oslepiem w boju dawnym narzeczonemu, starał się autor wypracować i szczególnie go uumiłował; chociaż bez wątpienia inne części poematu wyższą odznaczają się wartością. Uwaga krytyka co do żalu i złorzeczeń Kmicianki zdaje się sprawiedliwą, nie zastósował się jednak do niej pisarz, w inny sposób przedmiot swój pojawiający, i przywiązawszy się do powziętego pojęcia.

występuje, powinienbym raczej mileżeć tylko, i dziwić się temu coraz potężniejszemu rozwijaniu się siły poetyckiej, temu duchowi co rośnie ci w piersiach łaskawy Panie, kiedy nas młodych tak nieraz opuszcza! Ledwom zdołał nakryślić te słów kilka, i po samem piśmie poznasz już łaskawy Panie, że mi ręka drżąca nie służy. W istocie cielesny rozstrój nerwów wielki jest we mnie. Od lat czternastu bezprzestanna choroba, nurtuje we mnie, a w tem do *Idei* podobna że choć ta sama ciągle, wciąż pod innemi kształty się objawia. Zmusza mnie nawet ona teraz, na parę miesięcy wyjechać do wód. Miałem lubą nadzieję, że tego lata odwiedzę progi drogiego Pana, i dni kilka cichych przebędę pod cieniem drzew jego. Marzyło mi się o Zygmunrowskich czasach, o Czarnolesie, o Kochanowskim, i to wszystko chciałem oczyma oglądać, chciałem widzieć Pana, którego rycina na moim stole spoczywa, a na której mi nie dosyć; lecz zdrowie nadwątlone każe mi szukać środków ratunku. Do lepszych czasów odkładam więc złożenie ci mojego uszanowania drogi Panie, a teraz racz przyjąć choć z daleka wyraz wszystkich uczuć przywiązania, podziwu i uwielbienia, których dusza moja pełna ilekroć myślą i sercem obraca się ku Tobie.

List IV.

Do Kajetana Koźmiana. ¹⁸⁾

Frankfurt nad Menem, 9 października 1846.

Drogi i łaskawy Panie!

Racz przyjąć najtkliwsze serca mego dzięki za list łaskawy odebran w tej chwili w ojcowskim. Wyczytałem w nim własne uczucia. Smutek, który objął cię Panie i na chwilę nawet od Czarnieckiego odwiódł, i mnie opętał — Tak opętał, bo z takich przyczyn urodzony smutek, to wart nazwy opętania, i radaby dusza ludzka pójść szukać gdzie po drogach bitych świata, azaz gdzie nie spotka Chrystusa samego, któryby ręce na niej swe boskie położył, i z niej wyrzucił nękać ją czarty. Gorycz

¹⁸⁾ Jest to odpowiedź na list, któryśmy w wstępnem słowie przytoczyli.

bez miary, beznadzieja i bezmoc. Ale o drogi i łaskawy Panie! kochany mistrzu lat moich młodych, w istocie taki smutek jest dziełem potęg złych i odrzucić go trzeba. Nie zrażaj się niczem Panie! stawiaj i dobudowywaj to co *aere perennius*. Nie myśl ni mniemaj ukochany Panie, że głosu twego nie pojmą późne potomki. Owszem tak zawsze się dzieje, że poezya tylko, jednali tylko zachowuje potomkom upłynione przodków życie. Ona ciągle wieszczy w obie strony, w oba kierunki czasu zwane przeszłością i przyszłością. Nadawa żywot, barwę, ruch, zmartwychwstanie, temu czego już niema, i też przedwstępny kształt temu czego niema jeszcze. W tem jej istota, zasługa, prawda, tem ona wieczną panią ideału i zbawczynią serc znękanych prozą obecności (bo jużci obecność zawsze srogą, suchą, niewdzięczną i okrutną prozą jest na ziemi), że tym sercom udziela wspomnień i nadziei, że im z jednej strony każe patrzeć w twarze nadzidiadów, z drugiej w anielskie postaci gdzieś, kiedyś później mające się rozwinąć, czy na tym świecie tu, czy w wszechświecie w rajach jakichsiś. Więc nie zrażaj się drogi Panie żadną okropnością przetworzeń i zgonów i przemian. Jak zbawca właśnie umierających i pomarłych, daj im te kształty, użyż im tej potęgi zachowawczej, która ma ich ocalić dla potomności, która już z nich nie będących przed oczyma cielesnemi, ma wydłutować posągi wieczne, wszechobecne oczom duchowym ludzi przyszłych. Wtedy właśnie to co kochasz, w czemes się rozmiłował, wieki owe, któreś przytulił do wieszczego serca, by nie spadły w otchłan zapomnienia, odejmiesz grożącemu im niebezpieczeństwu nadchodzącej na nie śmierci, odświeżysz je, poczynisz z nich jakoby krew wiecznie młodą, lejącą się z dźwiękiem rytmowym w piersi niemowląt dziś nieurodzonych i będziesz jak matka, opiekunka, karmił przyszłe pokolenia tem, co było świętego i wzniosłego w przeminionych czasach. Nie inaczej dni co zaginęły, łączą się z dniami co nadejdą. Historya sama nie tak żywotnie jak poezya, ten przelew jednych w drugie ułatwia i utrzymuje. Po przeczytaniu Iliady, grecka epoka pierwiast-

kowa wrzyna się na wieki w umysł czytelnika, sama iścizna jej życia tam pozostaje. Po przeczytaniu Danta, cały człowiek się uśredniowiecznia, i daleko prawdziwiej, głębiej, żywotniej niż gdyby tysiąc kronik średniowiecznych przeczytał. Poezya bowiem w tem jest świętą i niebieskiej niejako, boskiej powagi rzeczą, że na podobieństwo sądów Bożych, to tylko zachowuje z epok miniętych, lub przepowiada z nienadeszłych jeszcze, to tylko co istotnie wzniosłem, dobrem, prawdziwem w nich było, lub być ma. To właśnie stanowi co zowiem jej pięknoscią, ideałem. Brud i kał odrzucon jest — błoto towarzyszące wszelkiej terażniejszości tu nie wala nas. To tylko żyje i zachowaniem bywa, co życia godnem, co istotnie do okęgów wiecznego żywota z natury swej szlachetnej należy. Można o każdej epoce, tak zachowanej przy życiu przez wielkich wieszczów wyrzec, co jakiś przeor napisał na grobie Abelardowi. *Praeteriit non periit, transivit ad Esse*. Do tego prawdziwego *Esse*, które nie podlega już żadnym losom ironiom ni przypadkowościom Fortuny. Otóż drogi i łaskawy tego *Esse* oczekuje od Ciebie Czarniecki, a Czarnieckiego przyszłe dzieci nasze, by przepoiły się tym bytem wywzniesionym, tem życiem wydartem przepaści, tem mlekiem i miodem przeszłości, a za pomocą twego słowa jędrnego, niepokalanie czystego, bohater-skiego, i tak dźwięczącego jak niegdyś dźwięczały pancerze! — I przyjdzie dzień, i będą płakać z wdzięczności nad twojem imieniem, z serdecznej — i nazwą cię ojcem swoim, za to żeś im zachował mowę ojców, i ojców dzieje — za to żeś tyłu i tyłu tonących wyrwał i osadził na brzegu, i kazał im prosto stać, prosto jak za życia, jak na pobojuwisku, jak w radnej sali, jak na tronie, jak w kościołach pod wezwaniem Najświętszej Bogarodzicy! Tak jest pewnie. Nie pochlebiam — prawdę mówię; spójrz w okół siebie, a pojmiesz sam że to prawda. Przypomnij sobie wdzięczność ludzi dla tych Benedyktynów, czy Cystersów, co w klasztorach uratowali od zguby złotych wieków łacinę? Czyż nie to samo *mutatis mutandis*. Proszę Boga bym

mógł nie długo obaczyć się z drogim i łaskawym Panem, i z nim szerzej pomówić. Mam nadzieję, że tego szczęścia losy mi nie odmówią. Jędrzeja serdecznie ściskam i proszę by obiecany list przesłał do *Nice Maritime — états sardes*. Racz mi Panie pobłogosławić myślą, jako od dzieciństwa przywykłem cię kochać i szanować i ducha twego i cnoty twe uwielbiać.

Zygmunt.

List V.

Do Andrzeja Koźmiana.

Nizza, 10 stycznia 1847.

Kochany Jędrzeju! Odebrałem słowa twoje i najserdeczniej ci za nie dziękuję. Pociechą mi wielką i prawdziwą móżd być nią czasami ojcu twojemu; ale niema sposobu, musi pęknąć choćby w kuźniach Cyklopów zahartowana myśl, *quam nec imber edux, nec aquilo impotens possit diruere*. Otóżby i ta musiała się rozpaść i położyć się na ziemi jak proch. Jakże rozumiem doskonale stan jego duszy, te upadki i znów dźwigania się, a za każdym podźwigiem gorszy uderza młot, i wreszcie pękają strony. Ale jednak nie lękaj się. Dojdzie do końca, co się ma przydać wielu sercom. Są pewne prace umysłu ludzkiego, których opatrność nie opuszcza nigdy, choć ciężkimi nawiedza je młodościami i przerwy. Pamiętasz Ty, jak w dziejach świata, jak koło przyjscia Chrystusowego, to jest tego, który miał zbawić, ale wprzód jednak wielki rozdział w serca wprowadzić, jak sam o sobie świadczył, pamiętasz jak przed tem objawieniem najogromniejszego zjawiska jakiego się ziemia od Adamowych dni doczekała, nagle na trójnogach umilkły Pitonissy, i mówiono wszędzie, że Bogi wychodzą z świątyń. Otóż nie podobniejszego *mutatis mutandis*, jak dzieje całego rodu ludzkiego do dziejów każdego człowieka z osobna. Jedno prawo rządzi wszechświatem. Ludzkość olbrzymią osobą, każdego z nas malenieczką ludzkością. Otóż uważałem, że zawsze i z pojedynczych piersi zwykły wychodzić Bogi, i w nich ucichać trójnogi, skoro cierpka proza trudów

i rzeczywistych zdarzeń, zaczyna brać na się rozprowadzenie ziemskie, tego właśnie co Pitonissy magnetycznie i niebiesko widują, obwiane ową parą tajemniczą, która łagodzi kształty widzeń ich i rozmiększa je. Ale zaiste żałoby nieskończonej pełna ta chwila. Strach jak Grecya płakała za swoją Delficką. Strach jak Rzymowi się nie chciało porzucać fijołek i róż, choćby tych którymi Cezary zaduszali zwolna, sproszone na wieczerze senatory, by wdziąć włosiennicę i klęknąć przed krzyżem. A jednak ukląkł. Dla starożytnych było żegnaniem się ze znaną im poezją. Jeżeli więc tak się dzieje w świecie, czemużbym miał się dziwić, tym umilkaniom duszy w znanych mi piersiach. Jak zaś wróciła poezya później i średnie wieki znów się rozśpiewały w nią, tak zapewne po kilku chwilach głębokiej niemocy, znów uczuje twój ojciec, że *Ecce Deus*. Kochany Jędrzeju jeszcze raz dziękuję ci za wiadomości którymiś mnie obdzielił o zdrowiu ojca mego. Błagałem go by się na mrozy osłabiony nie narażał, i pod lepsze słońce się wybrał, ale jak *inexorabile Fatum*, nie wysłuchał prośb moich. Wszystkie zdania twoje podzielał, jednak wrażenie wywarte na mnie przez twój list klasyczny bo o dramacie Eschylesowym, na którym poraniały Atenianki rozprawiający, mógłbym objąć i wyrazić równie klasyczną cytacją, a to przenosząc się, nie już do teatrów ateńskich, ale do rzymskiego cyrku, i co tam wstępujący na arenę mówili szermierze przytaczając. Tak jednak być niema w rozwoju boskim sztuki. Estetyka starających się układnie i kształtnie członki rozciągać na piasku kolizeowym, chrześcijańską estetyką nie jest. Tam *inexorabile* tu Opatrzność, tam nie było zbawienia, tu dusza nieśmiertelna, tam w posągach marmuru bezwładność, tu w malarstwie życie. Więc życie celem sztuki chrześcijańskiej. Powiem ci, że ani zdrowym się nie czuję, ani wesołym; chorowałem obłóźnie przez dni piętnaście, teraz wciąż cierpię i dolegliwie. Śledziona, wątroba i t. d. wtrącają mnie w niewypowiedziane melancholie. Proszę cię złożyć moje uszanowanie najgłębsze i najserdeczniejsze razem ojcu. Zapewne przerwa bojów przez Radziejowskiej ustęp

jest doskonałą igrą farb¹⁹⁾, a wreszcie obowiązkiem Epopei, dotknąć wszystkich praw wiecznych natury człowieczej. Jednem zaś z najniezawodniejszych to, że zawsze i wszędzie ducha męskiego, niewieści zbezsila. Gdy masz czas i chęć po temu pisz też czasami do mnie, i powiedz jak ojcu powodzi się z natchnieniem, i w zdrowiu i we wszystkim. Jeszcze cię raz ściskam z głębi serca. Z kuzynem twoim Szekspira tłómaczem, nieraz tej jesieni mówiliśmy o Tobie i o ojcu twoim pod zółkniejącemi winami Nadrenu. Bóg cię strzeż i wszystkich twoich, a czasem wspomnijcie o szczerze wam przywiązanym od dzieciństwa po śmierć.

L List VI.

Do Kajetane Koźmiana.

Heidelberg, 10 oktobra 1847.

Drogi i łaskawy panie!

Daruj pismu dziwnemu, skutkowi akwizgrańskiej kuracyi, która mi głowę nieznośnemi obarczyła bólami, i palce ciąglem rozstroiła drganiem.

Temu dni kilka spotkałem się z ukochanym Jędrzejem, który dwunastą pieśń mi przeczytał, właśnie w rok po dniu onym, w którym do drogiego i łaskawego pana pisałem, tak silnie wierząc, że dokończysz i dozupełnisz Czarnieckiego. I otóż dokończon, i dozupełnion. Lecz jeszcze nie koniec, bo dookrąglon i dociosan ostatniemi dłuta uderzeniami być musi, jak każde wielkie dzieło sztuki, — a takowe dociosywanie od którego doskonałość piękności zależy, czasami wiele czasu wymaga. Czas będzie, a dłuto jest. Więc drogi panie, bierz je do ręki i *uprzesliczniaj* to coś już *pięknem* nam przed oczy postawił.

Nazajutrz po 12 pieśni przeczytaniu mi, odebrał Jędrzej od łaskawego pana list, w którym przesyłałeś mu drogi panie

¹⁹⁾ Wzmianka tu jest o ustępie z Pieśni X od wiersza 461 do wiersza 780, w którym wystawiona obudzona na nowo miłość Jana Kazimierza dla Radziejowskiej i wyprawione dla niej uczty i festyny.

do onej 12ej wstęp ²⁰⁾ i tegoż dnia, tenże wstęp przepisany ręką Elizy doszedł mnie z Warszawy. Cóż ci powiem drogi i najłaskawszy na mnie panie? Czy jak pewni ludzie starożytni odrzucający diademata podany, dla miłości rzeczypospolitej, ja dla miłości twojego dzieła, dla majestatu twojego Czarnieckiego będę się starał odrzucić najśłodsza rzecz, którą mi darem i błogosławieństwem dajesz, — owoż pamięć u ludzi potomnych. Drogi panie! sam rozważ i opatrz sam. Czyż wzmianka owa, nie przerywa zanadto poważnej jedności epopei? Czyż czytelnik natrafwszy na wiersze te przepyszne jako wiersze, nie będzie przymuszony odwrócić nagle uwagi od przedmiotu, na to, by myślał śledzić o kim tu mowa być może, a niejeden nie doszedł się myślał niczego, darmo się będzie męczył i starał. Imienia o którym nie słyszał nigdy nie podszepta mu pamięć, nie podpowie mu domysł. Pozostanie więc w niewiedzy, dozna przykrego wrażenia. Niebezpieczną bowiem rzeczą odciągać wśród jednolitego działania ogólnego, publicznego, że tak powiem, duszę czytelnika ku uczuciom i wzmiankom, już nie publicznym, ale niejakaś cechą prywaty naznaczonym. To osłabia i przerywa tok całości, to ją dzieli i częsteczkuje osobliwie w Epopei, w której wieszcz sobą samym być nie może, jedno musi tak zlać się z swoim narodem, iżby potomność mogła odpowiedzieć na zapytanie „*kto pisał to?*“ słowo *Naród* zamiast imienia autora. Byłżeby naród owe trzydzieści wierszy, od których zamierzasz począć pieśń 12tą, napisał. Nie drogi Panie! zatem i Ty nie powinienes! Tem słowem skazuję sam wszelkie samolubstwo własne w sobie na śmierć. Odejmuję sobie prawo do najmilszej chluby i ozdoby w życiu mi zdarzonej. Dar i wieniec od skroni niegodnych odpieram, by dar i wieniec tym skroniom rzucony nie zaszkodził blaskom hełmu Czarnieckiego. Ale przyjmuję błogosławieństwo twoje ²¹⁾. Wszystko to co mi serce twe, w tych

²⁰⁾ Jest tu mowa o owych wierszach poświęconych Zygmuntovi, które w wstępnym słowie przytoczyłem, wierszach od których miała się począć Pieśń XII, i które autor za radą i na żądanie Zygmunta wypuścił.

²¹⁾ Na tem słowie opierając się, autor z błogosławieństwem dedykację całego dzieła Zygmuntovi przeznaczył, co też w niej wydawca wyraził.

wierszach dało i dać chciało, to własnością moją. Dobroć twa ku mnie, i łaska i uczucie, mojemu, na dziś i na zawsze. Owóż przed niemi pochylałam głowę i proszę cię Panie, połóż mi ręce sędziwe na niej i powtórz błogosławieństwo, i powtórz mi żem mógł być do tyła szczęśliw, iżem zdał się Tobie na co, czy sercem, czy radą. — W tem nagroda Zygmunta. Lecz o Korwinie nie wspominaj drogi Panie. Wierzaj mi, zmysł mnie sztuki nie myli. Stosunek zachodzący między twoim duchem a moim, nie należy do Epopei, tylko do nas obu. A teraz racz przyjąć wyraz najszczerzy i najgłębszy dziękczynienia mego. Aż podraستاła dusza gdym czytał. Miło mi niezmiernie było, za nadto miło, i potem *za nadto miło* poznałem, że nie zasłużyłem i że powinienem zmasać. W sercu zaś mojem zapisanem pozostanie na wieki!

A teraz drogi Panie, pozwól, bym o wstępie powiedziawszy zdanie, przeszedł do samejże pieśni. Jest piękną. Doskonale, wybitnie, rzeźbowo wygląda postać żelazna Czarnieckiego na tle jedwabnem i złoconem, tych dwóch drugich postaci dumnych Lubomirskiego i Sapiehy. Bardzo pięknem to miejsce²²⁾ a to miejsce stanowczem, bo ono skupieniem jest niejako wszystkiego, coś przez ciąg cały poematu mówił o Czarnieckim. Same też ostatnie wiersze pieśni i dzieła pyszne²³⁾. Zwięzłe i uroczyście, świat cały uczuć, obietnic, i spełnień w sobie zawierają.

U początku zarzuciłbym śniącemu Gustawowi, że nie dość opisuje postaci onej we krwi, przed którą się wzdryga²⁴⁾, mówi

²²⁾ Mowa tu o tryumfie urzędowym, przygotowanym, trzech Hetmanów i o tryumfie ludowym Czarnieckiego *nie Hetmana* kończącym cały poemat w Pieśni XII od wiersza 860.

²³⁾ Pieśń XII wiersze 985 aż do ostatniego wiersza:

Jeżeli jest Bóg z wami, da zbawcę w Stefanie,
Traci pychę, w proch padnie, a proch zmartwychwstanie.

²⁴⁾ Pieśń XII wiersz 820.:

Znów się zrywa i znów: patrzcie! patrzcie! woła,
Zkąd idzie ta niewiasta wybladłego czoła?
Oto jej łono białe krew strumieniem broczy,
Oto jej dłoń krew czerpie i bluzga mi w oczy.
Ach to Polska.

Arcy była trafna uwaga recenzenta, żal że za nią autor nie poszedł.

tylko o niej „Niewiasta“ — za mało, lub za wiele. Jeżeli bowiem ma pozostać ten wyraz, koniecznie rozdlużyć go trzeba, koniecznie odziać go w draperye i odzież i zewnętrzne znaki odpowiednie treści pod nim ukrytej. Trzeba by się stało „*Incessu patuit Dea*“, to jest by każdy poznał tę niewiastę. Ale myślę że przeciągnęłoby to ustęp nad miarę, i że stiaoroć lepiej opuścić owo upostaciowanie, w tej chwili niekonieczne, i poprzestać na onej krwi niwy zalewającej. Przecież niwy czyjemi są, każdy wie. Nie potrzebna zatem *Niewiasta* nad niemi, bo ta *Niewiasta* to znowu przecież te same niwy, tylko że inaczej wyrażone. Gmatwają się i szkodzą sobie nawzajem dwa różne wyrażenia, jednej i tejże samej myśli. Zdaje mi się także, że możnaby opuścić wiersze, kędy wzmianka o zawiści nie chcącej i Tykocina dać za zbawienie, bo i tu gdyby ostać się wzmianka miała, rzeczby przeciągnąć należało. Zgromić *wadę wieczną*²⁵⁾ a gromiąc ją, pokazać jednak, że nie jest ona duchem całym plemienia, że miłość i poświęcenie odkupujące ją w niem, obok niej, jak dwa serca obok jednej wątroby czy śledziony biją. Tak zaś zostawić myślę, że nie wypada²⁶⁾ bo pod koniec dzieła, pozostałoby przykre wrażenie, na światłokręgu plama, wspomnienie podłości obok wspomnień chwały! Przez wszystkie jedynaście pieśni, wolno było pierwszą deptać, karcić, przekazywać pogardzie potomnych, ale w dwunastej, ale na ostatku niech ten akord nie wraca. *Finis* niech będzie *bonus* niech *coronat*! Przepłynienie Bełtu

²⁵⁾I ta zazdrość polskiego rodu wieczna wada.

Pieśń I wiersz 8.

²⁶⁾Zdanie to ściąga się do ustępu ściśle historycznego, o powstałym oporze w sąmiej przeciw nadaniu na własność dziedziczną Czarnieckiemu starostwa tykocińskiego. (zobacz Pieśń XII w. 961—978). Uwaga i rada krytyka jest bez wątpienia nader słuszna. Długo się wahał autor czy pójść za nią. Zdawało mu się jednak że ten szczegół historyczny tak był głośny w dziejach i tak jest znany, że go opuścić nie wypadało. Nie opuścił go, gdyż hańba oporu, zazdrości, niewdzięczności nie spływa na naród i na króla, lecz na kilku zazdrośników i wichrzycieli, na których w żadnym kraju nie zbywa, a których w Polsce niestety! w większej liczbie niż gdzieindziej napotykałeś. Jednakże Tykocin stał się własnością Czarnieckiego.

Tak naród, tak ojczyzna, tak Polska wyrzekła.

a więc hańby Polski tu niema.

przesłane mi przez Elizę przedziarskie, przedzielne. Wiersz taki jak czyn²⁷⁾).

I zryty Bełt kopytem, spieszmem wiosłem kraje

lub:

Liże ich i popycha wir morza głęboki.

W tem wyrzały u koni szyje, grzbiety, boki i t. d.

Pyszne! Byłeś tam Panie, i potomni będą tam z Tobą. Przyim raz jeszcze najserdeczniejsze moje dzięki. Dłużejby mi się był chciał rozpisać, ale nie sposób mi. Bardzo mi co chwila słabo, mdło, i zawrotnie w mózgu, w sercu zaś wdzięczności pełno, pełno drogi Panie. Mam nadzieję, że czegom tu nie zdołał dopisać, ustnie dopowiem ci niezadługo i że we własnych progach twoich Bóg mi dozwoli i wziąć serca twego błogosławieństwo, i usłyszeć twego Czarnieckiego całować.

Z najszczerzem uszanowaniem, najszczerzej przywiązany.

List VII.

Do Kajetana Koźmiana.

Warszawa, 29 kwietnia 1850.

Czczony, podziwiany, kochany przezemnie a wciąż łaskawy na mnie Panie!

Odebrałem wiersz²⁸⁾, oddałem komu należał. Odpisać on chciał zaraz, nie mógł, a ja niemoc tę pojmuję, bo sam od roku z górą i codzień głębiej zapadam, w tem całkiem podobny do wieku i świata tego, który się powoli rozstrajając schodzi w jakieś ciemnice. Piękny to wiersz. Strofy kończące się temi słowy: *Niechaj truchleją szczęśliwi*, wstrzęsły mną całym od stóp do głowy. Tkwi w nich niebotyczny hart. Wszystko co do koła nas otacza, wszystko co się dzieje za dni naszych, od lat trzech czyli raczej dwóch i pół, już zdaje się działo się w Rzymie, bo

²⁷⁾ Pieśń XI od w. 494 do w. 534.

²⁸⁾ Mowa tu o wierszu przytoczonym w wstępnem słowie a zaczynającym się od słów:

Niechciej przenikłem dociekać wzrokiem.

Zygmunt który najusilniej się starał, aby o nim jak najmniej mówiono, a wcale nie pisano, u którego ostrożność stała się nawykniem a była koniecznością, często w listach pisząc o sobie przemawiał jakby o trzeciej osobie.

doskonale wszystko to Tacyt opisał. Słowa jego niektóre stosują się przedziwnie do stronnictw rozdzierających nasze społeczeństwo. I tak pewnym możnaby powtórzyć: *Professoria lingua regimen orbis expostulans*. Wszystkim zaś bez różnicy: *Conscientiam generis humani aboleri arbitrabantur* i owo drugie *Omnia serviliter pro dominatione*. Jedni albowiem mają się *serviliter* ku drugim ludziom, drudzy *serviliter* ku duchowi złego, ku szatanowi kuszącemu ich, i osiadłemu w nich, z czego wypada, że jedni i drudzy zarówno podłymi są, a ciągle o jeden cel a tym jest *Dominatio*. Święty Tacyt!

Skoro się na siłach poczuje dłużej napiszę. Dziś tylko chciałem dowieść tem kilkosłowniem wdzięczności mojej i prosić o ciągłą łaskę nad najprzywiązanszym bardzo i bardzo schorowanym.

List VIII.

Do Kajetana Koźmiana.

Drogi łaskawy Panie!

Nie dziełę wyrażonego w liście dopiero co odebranych z rąk Jędrzeja zdania. Przeszłości ze składni czasu wiekuistej nikt nie wytrąci, tak jak z Trójcy Bożej, żadnej z osób w niej współistniejących, nikt nie wyruguje. Czas ani na chwileczkę jedną nie okaleczy dla przypodobania się wrzeszczącym reformatorom, i przeszłość ta matka wszech terażniejszości i przyszłości, których sam Bóg jest ojcem, nie tylko że nie osłabnie w pamięci ludzi, ale mojem zdaniem wyidealizuje się, pięknieje i spotężnieje w ich sumieniu. Z wszelką przeszłością tak bywa. Im dalsza tem urodziwsza, im urodziwsza tem od serc ludzkich kochańsza. Teraźniejszość jest bólem doskonałym, co chwila doznawany. Zapomniane zaś bóle przeszłości i nieprzewidziane przyszłości, odejmują że się tak wyrażę, wszelką cielesność im obu i tem samem przemieniają się niejako na dnchy niebieściejsze niż jedna była i niż druga będzie. Ztąd pochodzi, że obie należą do wieszczów, i że miłość ku nim po duszach ludzkich roz-



prowadzają wieszczce. Zatem łaskawy i drogi Panie nie martw się, ni w żadne nie wpadaj powątpiewanie, względem wrażenia jakie wywrze Czarniecki. Radbym go widzieć jak najprędzej na świat wyszłym i wystawiam sobie, że jak posąg Komandora, przyszedłby ścisnąć kamienną ręką dłoń zbiorowego Don Żuana naszego, to jest młodzieży tegowiecznej. Można by dla zachowania pewnych ugrzecznień i przyzwoitostek, tytuł powszechnie już znany na naszej ziemi odmienić, przezwąc go na przykład *Wojna Szwedzka* lub inaczej, i bezimiennie go puścić. Bo szkoda by mający przyjść na odsiecz garstce cnotliwych, i w ojczyźnie rozmiłowanych, a już zewsząd osaczonych, zwlekał przybycie i czekał poranku; kiedy właśnie o samej północy winien napaść pijącego i śpiewającego onego Don Żuana, przy akkordach straszliwych, sąd idący zwiastujących, raczej z nocą niż z porankiem zgodnych. Nadejścia przeszłości w przyszłość zwłóczyć nie należy. Rękopism już u mnie i uważać go będę za gatunek świętości. Skoro odczytam a pokommuję (bo jednej kommy w całym nie znaleźć) dam go do przepisania. Co do litografii koła dawnego znajomych²⁹⁾, powiem ojcu memu za widzeniem się z nim, uwagi łaskawego Pana. O Hofmanowej przytyki, sądy i przesady dbać nie warto³⁰⁾. Cieszę się zem jednego losu doznał z droгим Panem, pod tym względem, bo i mnie srogo stro-

²⁹⁾ Wzmianka tu jest o wizerunkach osób, które stanowiły codzienne towarzystwo, tak generała Krasińskiego, jak kasztelana Józefa Krasińskiego, a których rysy, całe postaci, uchwycił ołówkiem, z wielkim talentem i dowcipem Józef Sokołowski. Ten zbiór szacowny znajduje się teraz w posiadaniu Adama hr. Krasińskiego. Są w nim najwierniejsze wyobrażenia Niemcewicza, Osieńskiego, Morawskiego, Koźmiana, kilku Krasińskich, generała Turny, Romana Załuskiego, wielu dawnych wojskowych i nado najpodobniejsza postać Jaksy Marcinkowskiego. Myśl litografowania i wydania tych portrecików nie przyszła do skutku, z powodu licznych mundurów wojska polskiego których przypomnienie było w owym czasie wzbronione.

³⁰⁾ W pośmiertnych dziełach pani Hofmanowej wydanych wraz z jej Pamiętnikami, jest osobny, krótki, ale popieprzony, octem i żółcią zaprawny artykuł o *Ziemianstwie Polskiem*. W nim szanowna autorka Krystyny twierdzi, że w *Ziemianstwie Polskiem* Kajetana Koźmiana niema najmniejszego błysku talentu, jednego obrazu narodowego, że wszystko tam płaskie jak droga z Warszawy do Błonia, że jedna tylko myśl jest nowa, ofiarowania dzieła włościanom polskim, lecz że oniby go nie zrozumieli, a gdyby zrozumieli, woleliby, tak jak i reeuzentka ciele kupić, nie *Ziemianstwo*. Z równą surowością i goryczą wyraziła się pani Hofmanowa o poezyach i pismach autora Irydiona.

fuje, ta zacna, kwaśna, zasłużona, ale nic się na poezyi nie znająca nieboszczka. *Guarda e passa* tak jak Wirgiliusz w piekle wyraził się do Danta. Ja się nie gryzę tem wcale, a raczejby ja gryść się powinien, bo nie mam do przyduszenia głosów krytyki, takiego marmuru z Paros jak Czarniecki. To mi nawodzi na pamięć kilka w myśli ułożonych wierszy, które w odpowiedzi na odezwę oną pierwszą łaskawego Pana, z serca nie z mózgu mi trysły, a których nie posłałem, bo wiem sam że nadzwyczaj mierne. Jednak ponieważ czuję że z serca wyszły tu je pierwszy raz na papier położę:

Czemu Mistrzu? masz siwiznę,
Stokroć młodszą mej młodości,
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.
Czemu Mistrzu dotąd tleje,
Żar ci w piersiach nie zrównany,
Boś za młodu znał nadzieję,
A ja tylko zwątpień rany.
Z grobuś nieraz wyrzał w górę
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzył tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.
Młodość Mistrzu jest rzeźbiarką
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko
Cios jej dłuta wiecznotrwały.
Więc już zwiądnę — gdyś Ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze, mrę nieczemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach szczęśliwszy Ty odemnie.

W tych słowach zawarty wszystek smutek mój teraźniejszy. Co dnia mi gorzej. Nie wiem co się dzieje we mnie — co się stało ze mną. Odszukać siebie samego, odnaleźć siebie nie zdołam. Jakaś zasłona rozwiła między mną jak jestem, a mną jak się czułem dawniej, i wciąż omackiem targając tę zasłonę, której podnieść niemogę, tylko paznokcie zostawiam krwawe na jej fałdach, tak przejrzystych zdawałoby się jak mgła, a jednak tak ciężkich jak ołów, lub jak granit z którego głazy grobowe się wyrabiają. Przepraszam za ten list; czuję, że zawiły — nie jasny. Daruj mi łaskawy i drogi Panie. Syn za powrotem opowie, jak mi trudno nietylko już pisać, ale nawet mówić.

Ten stan chorobny, i on jedynie tylko, był mi przeszkodą do odwiedzin, na które się jak na wielkie szczęście gotowałem, a któremi nie mogłem uszczęśliwić siebie, bo czułem, że przyjechawszy do Piotrowic, byłbym tylko łaskawemu Panu ciężarem. Dzięki za ciągłą pamięć o mnie, i duchową nademną opiekę. Sercem i na zawsze pozostaje najprzywiązanszym

Zygmunt.

List IX.

Do Andrzeja Koźmiana.

Baden, 24 marca 1856.

Najdroższy i najnieszcześniejszy Jędrzeju mój! —

Cóż ci powiem? co napiszę? Alboż łzami pisać można, kiedy prawdziwe, — a choćby co i napisał, czyżby słowo jakie moje tobie pomódz mogło? Na takie bóle nic co z ziemi nie pomaga na ziemi, prócz czasu. Takie bóle nawet pociechy nie cierpią, i za obrazę ją sobie mieć zwykły, im *boleć* ze wszystkich pociech jest jeszcze najznośniejszą pociechą.

Ach bo też to ból bólów. Żon można mieć więcej nad jedną, dziecka stratę zdoła zastąpić przyszłość. Lecz ojca ma się tylko jednego. W temeś tylko wybrańszy od drugich, że wiesz całą pełnią wiedzy twej, iż nawet na tej ziemi, Ten który odszedł, nie odszedł całkowicie, *Non omnis mortuus est*. Póki trwa mowa polska, póty i on jako posąg stoi przed obliczem narodu, a pokolenia nie tylko patrzeć nań przechodząc, ale mu i błogosławić muszą. Jaka zaś duszy tej nieśmiertelnej nagroda u Pana dusz i wieków wszystkich, wiesz także, bo znasz żywot jej ziemski, taki bogaty w cnotę, taki wspinały tyłu lat ciągiem.

Płacz więc nad sobą — nad całym rodem swym, nad nami wszystkimi, ale nie płacz nad nim!

Drogi Jędrzeju! pamiętaj o ile on zawsze był łaskaw na mnie — pamiętaj iż ojca mego kochając i na mnie był zlał częśćkę onego kochania. A na to pamiętając kochaj mnie także. Podanie przyjaźni rodów naszych przeciągnijmy dalej

Twój zawsze.

OSTATNIE CHWILE ZYGmunTA KRASIŃSKIEGO.

Wielka boleść zwykle jest niemą. Milczenie jest częstokroć wymowniejszym wyrazem żalu od łez wylanych i jęku cierpienia. — Od 23 lutego dnia w którym Bóg powołał do siebie Zygmunta Krasińskiego dwa miesiące upływa, a żaden z dawnych towarzyszków, z najbliższych przyjaciół zmarłego nie zdobył się dotąd na odwagę przemówienia o nim do rodaków; każdego z nich usta i ręka strętwiały boleścią. A przecież głos żalu narodowego rozległ się wzdłuż i wszerz po wszystkich krajach polskich, i wszędzie gdzie się jawnie mógł objawić, wzniósł się w gorących modłach publicznych, w żałobnych słowach kaznodziejskich — w mowie i w piśmie.

Kiedy w dniu 26 lutego przez ulice Paryża ciągnął się orszak pogrzebowy, który w zgodnem uczuciu składali ziomkowie nasi, równie mężczyźni jak niewiasty, starcy, młodzieńcy, dzieci, różna zasługa, różny wiek i różny stan, który niezwykły obraz powszechnej miłości, poszanowania i żalu przedstawiał, który wyobrażał hołd całego narodu jakby w jedną rodzinę skupionego, pytali się z współczuciem i z ciekawością mieszkańcy tutejsi, kto to był ten zmarły, który po zgonie takie oznaki czci odbierał, a gdy im jego nazwisko wyrzeczono, dziwili się, bo go nigdy wspomnianego w ciągu wypadków współczesnych nie słyszeli. Ale bo też imię jego i w kraju nawet nigdy głośno nie brzmiało, i nie ukazywało się jawnie, i żaden wyraz

*) Za porozumieniem autora z Dodatku Czasu.

natchnienia i uczucia zrozumianego przez wszystkich, żaden utwór poezyi oznaczony wyraźnie tém imieniem nie krążył w świecie. Życie nawet Zygmunta najczęściej wśród niemocy fizycznej za granicami kraju pędzone, zamykało się w ciasnem kole rodzinnem i najpoufalszych przyjaciół. Nie wielu z rodaków znanym był osobiście — a przecież kraj cały go ukochał, szanował, dziś go płacze, bo kraj cały jakby magnetycznie odgadł i zrozumiał jego duszę. I nie tylko odgadł ją i zrozumiał, ale się jeszcze jej światłością oświecał, siłą jej wiary pokrzepiał, zacnością jej przekonania i uczuć oczyszczał i uszlachetniał. — Między nim a naszym drogim zmarłym zawiązał się tajemny stosunek wzajemnego pojęcia się i miłości. — On, niewidziany, i mało znany z osoby, rozsiewał na braci jasne i ogrzewające promienie, i jeżeli porównania użyć mi wolno, był on w udzielaniu skarbów swego ducha, tym możliwym a dobroczynnym szafarzem dóbr, który świadcząc potrzebującym ukrywa się, lecz którego hojność daru i sposób w jaki udzielony bywa wydaje przed obdarowanym i nie błędną obudza w nim wdzięczność. — Dziwnem też było przeznaczenie, wyjątkowem życie Zygmunta, przepełnione poezją i nadzwyczajną dramatycznością. To czego ludzie wyższymi darami niebios obdarzeni zwykli najchętniej pożądać, to co ich miłości własnej, nawet dumie najbardziej pochlebia — rozgłos, chwała, tego on najstaranniej unikał, i krył się przed niemi. Nie on szukał sławy, sława szukać go musiała i znalazła. Przebiegając myślą różnego rodzaju chwały ludzkiej, nie znam żadnej równie czystem światłem jasnej, i tak starannie osłoniętej, równie głośniejszej i równie tłumionej, równie zasłużonej i równie zgodnie przyznanej. Nie spotkałem też nigdy żalu równie szczerego i tak powszechnego.

A jeżeli kraj, na którego widowni nigdy się nie ukazał, jeżeli rodacy, z których nie wielkiej liczbie znany był osobiście, tak go sobie umiłowali, taką czcią opromieniają jego pamięć, jakaż musiała być dla niego miłość, jaki żal po nim tych, którzy z nim z bliska w ciągu jego bolesnego życia przestawali, którzy

ducha i duszę jego nie z samego odzwierciedlenia się ich w piśmie znali, ale codziennie uwidomione je oglądali to w żywym słowie, to w czynach. Jaka boleść, mówię, tych którym się on bez żadnej osłony objawiał, nie tylko jako wieszcz miłością i wiarą całego życia natchniony, ale jeszcze jako człowiek najdosłowniej-szy moralnie, jako najzaczniejszy syn, mąż, ojciec, przyjaciel, obywatel, prawowierny i przekonany syn Kościoła, jako prawdziwy chrześcjanin szybkim krokiem posuwający się ku doskonałości, i już bliski jej osiągnięcia. Ci więc, ci towarzysze, przyjaciele jego, którzy znali wszystkie kształty, w jakie się duch jego wcielał, w które się jego wielkie serce przelewało, ci mają obowiązek przedstawienia go rodakom w całej jego postaci. A ten wierny jego wizerunek będzie mógł przynieść tę pociechę, iż naród, wśród którego tak wzniosłej i czystej duszy męża powstają, jeszcze nie upadł moralnie, i w dziedzinie ducha potępienia na siebie nie ściągnął.

Nie dziś pora, i nie tu miejsce do opowiedzenia żywotu Zygmunta, lecz gdy kreślący te słowa otrzymał od Boga tę na całą dalsze życie pociechę, że mógł być świadkiem ostatnich dni jego, uczestnikiem ostatnich jego myśli i uczuć, że mógł zbliżyć się do łoża jego cierpień a potem zgonu, dopomagać w pieczy nad nim, i w usługach przyjaźni, mniema, iż ziomeków oczekiwanie zaspokoi, i rzecz im miłą uczyni, o tych właśnie dniach ostatnich krótkie tu umieszczając wspomnienie, i zawiadamiając ich, jakie relikwie natchnienia i umysłu, jakie drogie pozostałości piśmienne po nim, jako dziedzictwo do nas wszystkich należące uważać nam będzie wolno.

Od lat najmłodszych życie Zygmunta Krasieńskiego było ciągiem dotkliwych cierpień fizycznych. Zaledwie liczył lat szesnaście, kiedy niesprawiedliwość jakiej wśród współtowarzyszów doznał, pierwszą moralną boleścią rozraniła jego wrażliwą duszę, nadała stanowczy kierunek jego uczuciom i na całą przyszłość wpływ wywarła. Odtąd ciągle dziwnie wikłały się jego losy i zmuszały go do zostawiania nawet wśród okoliczności krajowych,

które się wkrótce potem rozwinęły, w położeniu będącem w sprzeczności z jego najgłębszymi uczuciami i drażniącym je najokrutniej. Niema dla duszy szlachetnej trudniejszej walki, jak kiedy skazaną się widzi, na wybór między dwoma sprzecznymi obowiązками. Walka ta i mus wyboru, niezatarty nigdy ślad w niej i niezgojną ranę zostawia. Na taką konieczność nieraz był Zygmunt narażony, a wspomniawszy ile jego gorące i szlachetne serce boleści w powszechnem cierpieniu znajdowało, łatwo wyobrazim sobie jego długie męczeństwo moralne, które tak przeważnie na stan jego zdrowia wpływało. Od dwudziestego też roku życia zarody fizycznej niemocy rozwijały się, różne przybierając postaci. Przymuszony za krajem szukać łagodniejszego powietrza i lekarzy, którym ufał, dwadzieścia kilka lat wśród ciągłych cierpień ciała i duszy przeżył, cierpień które wycieńczały jego siły i ostatnią śmiertelną sprowadziły chorobę. W r. przeszłym wśród lata pierwszych ich oznak dostrzegł sławny lekarz drezdeński Dr. Walther, a gdy przepisana kuracya u wód Emskich nie przyniosła ulgi, tenże Dr. Walter najusilniej mu zalecał przepędzenie zimy pod słońcem południowem. Podróż ta nie dogadzała mu, nie chciał odłączyć się od rodziny, od synów, nad których wychowaniem i nauką straż baczłą rozciągał, i żądał jeszcze zasięgnąć rady w Paryżu Dr. Louis wsławionego szczególniejszą znajomością dokładną chorób piersiowych. Ten aczkolwiek rozpoznał niebezpieczny postęp choroby, czy ufał swojej sztuce czy przekonawszy się o wrażliwości wyobraźni chorego, lękał się jej obudzić, zataił przed nim grożące niebezpieczeństwo, i nie używszy powagi, jaką się zawsze lekarz w obec chorego uzbroić powinien, nie potrafił go skłonić do spiesznego na południe wyjazdu.

Tymczasem nowy grom zawisł nad jego głową, wieść go doszła o niebezpiecznej chorobie ojca. Sam pospieszył do niego nie mógł znękany własną niemocą, lecz sam niejako pospieszył w osobie ukochanej małżonki, której umysł każdą myśl jego, której serce każde uczucie tak wiernie odbijało, zawsze prawie

odgadnione, nim się jeszcze objawiło, i która w miłości znajdowała zawsze dzielną siłę na każdy trud, ofiarę, poświęcenie, która go na koniec przy sędziwym ojcu w najuroczystszej i najsmutniejszej nawet godzinie najprawdziwiej wyobrazić i zastąpić mogła. Od chwili nadejścia bolesnej wieści, każdy dzień niepokojem który nim miotał targał jego siły. Ale bo też on ojca ukochał taką miłością, otaczał takim uszanowaniem, jakich wśród dzisiejszego rozprzężenia rodziny i osłabienia powagi rodzicielskiej rzadki już przykład. W sercu jego, i to było jedną z najjaśniejszych stron i zasług jego duszy, miłość synowska prawie namiętności nabierała charakteru. Gdy więc ugodził w niego cios zgonu ojcowskiego, zgniótł go, skruszył, i ostatnie siły do walczenia z niemocą ciała odjął. Ale bo też po tym zgonie jakże boleść jego była wieloraka i różnorodna. Były to już najsilniejsze lecz ostatnie turtury męczeńskiego żywota. Wśród tej boleści odosobnił się od ludzi, od najbliższych sobie; tych tylko w małej bardzo liczbie przypuszczał do siebie, których uznał za najzdolniejszych do rozumienia i dzielenia jej.

I w tej męce duszy przeżył trzy miesiące. Na miesiąc przed ostatniem dniem jego, połączył się z nim dwudziestokilkoletni przyjaciel *), który acz naglony do powrotu innemi obowiązками oderwać się już od niego nie zdołał, pieczołowitością i poświęceniem otoczył go, i ostatnim chwilom jego życia wszelkie pociechy przyjaźni przyniósł. W ciągu tych miesięcy przedzgonnych rankami czuł się zawsze silniejszym i ożeźwionym, i poświęcał je pracy. Po śmierci ojca ochłonawszy z pierwszego bólu, jął się spisania jego życiorysu w francuskim języku, przeznaczając go dla rzeźbiarza, któremu wykucie pogrobowego pomnika wyobrażającego postać ojcowską chciał w Rzymie powierzyć. Ta praca niosła mu w boleści ulgę, wskrzeszając niejako ukochanego rodzica, i tak wyraźnie stawiając mu go w początkach jego zawodu przed oczyma. Spisując te wspomnienia dopóki piórem mógł władać, doprowadził je do roku 1827. W wielu

*) Księżę Jerzy Lubomirski.

ustępach odnajduje się jego ducha, prąd elektryczny jego wymowy, a co szczególnie w tem piśmie uderza, to przy gorącości uczucia, umiarkowanie i wytrawność w sądzie i dojrzałość zmysłu politycznego. Zwyczajem od lat tylu przyjętym, codzienne listy pisywał du ukochanej małżonki, codzienne od niej także odbierając. Niekiedy choć kilka wyrazów przysyłał oddalonym przyjaciółom, lecz każde słowo skreślone niewypowiedzianie go męczyło, i w każdym cząstkę sił swoich uraniał. W południe zwykł był wyjeżdżać, w kościele św. Magdaleny na gorącej modlitwie długie przepędzać chwile, i nie rac pomimo chłodu zimowego od tych przejażdżek wstrzymać się nie dał, twierdząc, że bez napoju świeżego powietrza obejść się nie może, a nie pomnąc, że mu tylko najczystsze i najcieplejsze pomocnem być mogło. Wieczorami zwykle leżał bezwładny i milczący, czasami jednak ożywał się i przemawiał, i wtenczas pryskały nie raz iskry jego umysłu, wylewał z wymową jemu tylko właściwą myśli, czucia, które coraz czystsze i jaśniejsze zdawały się błyszczeć promieniami. Wypadki bieżące, ich charakter, kierunek tem żywiej go zajmowały, że je był od dawna przewidział, i że z nich różne wróżby i nadzieje wyprowadzał. Gdy wieczorami leżał bez siły i głosu, lubił słuchać głośniego czytania. Ostatnie pismo którego odczytania wysłuchał, była mowa jednego z naszych rodaków, publicznie przed zebraną młodzieżą powiedziana, a która najgłębiej jego przekonanie i uczucia rażąc, te słowa z smutkiem wyrzeczone z ust jego wyrwała: „Nie w tem boleść i wstyd, że znalazł się jeden, który to powiedział, lecz że było stu takich którzy to wysłuchali.“ Ten stan obudzający najżywsze obawy, lecz nie wyzuwający z wszelkiej nadziei przeciągnął się przez grudzień i styczeń. On sam acz cierpiał bez miary, i czuł że słabł, nigdy bliskiego niebezpieczeństwa nie przypuszczał, i tę ufność przelewał w oddalonych i uwodził ich. Na przyszłość, na zimę następną układał i marzył podróż do Afryki dla dogodzenia wymaganiom lekarskim których dopełnić obecnie najprzód nie chciał, a potem już nie mógł. Straszliwa to, prze-

rażająca niemoc którą był dotknięty, bo w obec najsmutniejszej rzeczywistości, przy poczuciu opadku sił i gasnącego życia utrzymująca nadzieję, niemoc błędnej wiary w ozdrowienie, rozdzielająca serca tych, którzy je podzielać z chorym nie mogą. W środku stycznia choroba nagle i zatrważające czyniła postępy. W oczach naszych niknęło jego ciało, gasły siły, nie odnawiał ich, ani sen który ustąpił, ani pożywienie od którego wstręt odpychał. Wtenczas to głosem smutku i zwątpienia zawołał do Warszawy na ukochaną małżonkę, którą łudząc dotąd polepszającym się stanem zdrowia, silną wolą zatrzymywał tam, gdzie jej podług jego mniemania obowiązek pozostać i zastąpić go nakazywał. Wtenczas także zezwolił na naradę lekarską. Złożyli ją trzej najcelniejsi tutejsi lekarze. Choć już mówił z wielkiem utrudzeniem, wszystkie siły chory skupił, aby im cały ciąg i bieg chorób i cierpień całego życia opowiedzieć. Dwóch lekarzy, których po raz pierwszy do siebie przypuścił, tak uderzyła siła jego ducha, przenikliwość pojęcia, zwięzłość i jasność mowy, że przewidując bliski jego koniec, od podziwu a razem rozrzewnienia wstrzymać się nie mogli. Ta rozmowa z lekarzami była ostatniem jego wysileniem. Od tej chwili leżał na łożu niemocy, i już więcej nie powstał, i już tylko słabym głosem, ledwie kilkoma słowami mógł się odzywać.

Małżonka jego spiesznie przybywszy w tym go już zastała stanie. Rozrzewnienia wszelkiego chroniąc się, zabraniał sobie częstokroć widoku najbliższych i najdroższych. Dnia 19 lutego w rocznicę jego urodzin, (urodził się bowiem w Paryżu r. 1812), przypomniał sobie, że w ten dzień rok 47 życia zaczyna, a gdy mu powiedziano, że zwykły jego spowiednik ksiądz Miquell mszę odprawił na ubłaganie łaski Bożej dla niego, i że przybył aby go odwiedzić, z radością przypuścił go do siebie i dopełnił obowiązków wiernego katolika. W ten sam dzień nadeszła depesza telegraficzna z Rzymu zwiastująca, że Ojciec święty przy ofierze ołtarza wznosił za nim westchnienie, uradował się nią chory, a przywoławszy żony rzekł do niej: „Powiew miłosierdzia Bo-

„żego przebiegł dziś nademną. Nagle mi się ukazał mój spowiednik — zapewnił że zna stan mego sumienia, polecił połączyć się z sobą w modlitwie — pocieszył, rozgrzeszył, i odtąd „czuję się pokrzepionym,“ i dodał: „Rzecz dziwna w jednej chwili „tam westchnienie, tu pokrzepienie.“

Tu jest miejsce wykazania najświetniejszej części jego duszy tu jest miejsce uszanowania jego głębokiej religijnej wiary, która połączona z taką wzniosłością umysłu, z darem natchnienia, i z wyrobieniem moralnem, przedstawiała najprawdziwszy obraz piękna i doskonałości chrześcijańskiej. Od lat najmłodszych dusza naszego wieszca przejęta była uczuciem religijnem, i nigdy może nie przeszedł przez tę oziębłość zwątpienia i niewiary, które często umysły młodzieży nawiedzają, za wpływem albo ludzi z którymi przestaje, albo dzieł błędnych, w które się wczytuje. Usilniej niż ktokolwiek i on dociekał prawdy, i zapuszczał się na różne drogi, na których znaleźć ją spodziewał się, lecz na nauce jej pozory tylko noszącej poprzestać nie mógł. On potrzebował prawdy całej, zupełnej, tłómaczącej mu wszystkie tajemnice życia, i dogadzającej wszystkim szlachetnym nadziejom i potrzebom duszy. Nie znajdując zaspokojenia dostatecznego w tem co czysty rozum nauczał, a chętnie powierzając się polotowi bujnemu potężnej wyobraźni, znajdował odpowiedniem duchowi swemu, to co się nadzwyczajnością i mistycznością odznaczało, a wyższem natchnieniem odznaczać zdawało. Jeżeli więc był czas, w którym nowo powstała między ziomkami na wygnaniu nauka, obudziła w nim ciekawość i chęć badawczą, obłąkać go nie zdołała, nie podpadł nigdy ani w dumę apostołstwa, ani w zgorszenie i śmieszność łatwowierności, przeciwnie rozpoznawszy całą rozciągłość obłędu, zbłąkanych nieraz upamiętać i przekonać usiłował. Od lat dziesięciu stawszy się najposłusznieszym wyznawcą prawdy kościoła na zawsze w niej niezachwiany pozostał. Odtąd najprzykładniej dopełniał wszelkich obowiązków, w których dokonaniu zewnętrznie wiara się objawia. Modlitwa była rannem i wieczornem jego wsparciem, bez niej nigdy do pożywania po-

kaimu nie przystępował. Było coś do głębi przenikającego i przekonywającego w widoku takiej wzniosłości ducha, takiej potęgi umysłu połączonych z taką pokorą. I w tej pokorze nie było udania, nie była ona jak się często zdarza wpływem dumy, lecz głębokiego przekonania.

Po tym dniu, w którym chory uczuł się pokrzepionym raczej na duszy, jak na siłach ciała, nie długo już trwały nasze nadzieje i obawy. Dr. Walther, który z Drezna pospieszył do niego, nie mniemał aby się tak prędko zakończyły, i w ciągu dnia 23go lutego, jeszcze przeciągnięcie tego stanu na dni kilka wróżył. Tymczasem koło godziny 10ej wieczorem nie odstępująca na krok od łoża naszego wieszczka bolejąca jego małżonka, jakby magnetycznie przejęła w siebie jego stan wewnętrzny, przeczuciem popchnięta, wybiega od niego wołając że się najsmutniejsza chwila zbliża, i żądając przywołania i lekarza i kapłana. Przeczucie miłości omylnem nie było. Przybyli kapłani, użyzyli śś. Sakramentów. — Chory, konający, mówić już nie mógł, lecz jednym ściśnięciem ręki, jednym długo wpojonem wejrzaniem, w które przelał całą boleść, miłość, wdzięczność, całą duszę, pożegnał ukochaną towarzyszkę życia, i jej myśl ostatnią poświęcając. W tem poruszyły się z lekka jego wargi — Ojciec Niebieski przyjął jego duszę.

Jaki był żal po nim, jaki obrzęd pogrzebowy, wiadomo już rodakom. Już i w mowie i w piśmie, już słowem gorącym z kazalnicy, i w pośmiertnych wspomnieniach oceniono go i przedstawiono jako miłośnika ojczyzny, wieszczka i pisarza. Lecz poezya, lecz pismo było tylko jednym z kształtów, w którym się ta wielka dusza objawiła. Lecz ażeby dać pojąć, jaką to był wyjątkową istotą ten nasz brat ukochany, trzebaby go śledzić we wszystkich porach i stosunkach jego życia, trzebaby objawić wszystkie jego myśli i czucia dotąd nie objawione, odsłonić wszystkie czyny dotąd ukryte, a wtenczas dopiero przekonalibyśmy się, ile on nam wzorów zostawił, w wzorze jaki nam przedstawiał.

Zygmunt Krasiński mógł być powiedzieć o sobie:

Wszystko mi dałeś, co dać mogłeś Panie!

Dane mu bowiem było imię znakomite, dostatki, świetne stanowisko w świecie, wielkie moralne znaczenie między ludźmi, geniusz, natchnienie, sława. Na drodze życia spotkał dusze zdolne go pojąć, ukochać, ukształcić się pod strażą jego oka, a razem obudzić w nim poetyczne natchnienie. Znalazł więc i miłość i przyjaźń, znalazł zupełne szczęście domowe, znalazłszy w godnej sobie towarzyszce życia, pojęcie jego całej istoty, miłość do uwielbienia posuniętą, poświęcenie bez granic. Widział to szczęście uzupełnione potomstwem najpiękniejsze rokującem nadzieje. Tak, wszystkie żywioły szczęścia dane mu były, nigdy jednak zupełnie szczęśliwym nie był i być nim nie mógł. Bo pominąwszy ciągle cierpienia ciała, on tylko szczęściem ogółu, mógł się uszczęśliwionym poczuć. On w pierś swoją przyjmował boleść wszystkich i samolubnej osobistej pomyślności nie znał. Cierpienie jest wydoskonalenia ludzkiego najdzielniejszym narzędziem. Wśród niego, tak się dusza jego stopniowo oczyszczała, kształciła, taki szczybel doskonałości już osiągała, iż się czuła że długo między nami pozostać nie mogła.

W skutku tego wyrobienia moralnego, ten umysł tak potężny wolny był od wszelkiej dumy. Dla tych, którzy go mało znali, i powierzchownie lub z uprzedzeniem sądzili, zapalał dzielność z jaką przedstawiał i bronił zdań swoich, nabierały pozorów dumy umysłowej, kiedy one były wpływem miłości chcącej w innych przelać przekonanie, które prawdę podług jego mniemania mieściło. Lecz on nie siebie wynosić nad innych, ale innych nad siebie czy równych, czy niższych było jego rozkoszą i zwyczajem. Zazdrość, zawiść, obce były tej szlachetnej naturze. Gdziekolwiek znalazł piękne i zacne, cieszył się niem jakby swoim własnem. Czy w moralnym świecie, czy w dziełach sztuki, poezyi, aczkolwiek zmysł krytyczny w najwyższym stopniu posiadał, śledził zawsze strony pięknej, ujmującej, i tę najprzód oceniał i sławił. Nie był on z liczby tych ciasnych

i stronnych umysłów, które piękność tylko znajdują w formach i w granicach ich rozmarzonymi wyobrażeniami określonych, a które się wstydzą i lękają uznawać ją, skoro ją tylko spotykają w utworach nie pod ich sztandarem powstałych. Z poetycznością wyjątkowej natury, łączył on godność, rycerskość i pańskość charakteru, ale nie tę, która się tylko objawia zewnętrznymi oznakami, nie tę, która wypływa z tych wad, które poniżają i gubią szlachectwo rodowe, ale tę która ją wznosi i utrzymuje. Dostojność jego była cała wewnętrzna. Szczodrość w dobroczynności, w pomocy na znaczne cele udzielanej, bywała często wspaiała, zawsze dobrze zrozumiana i umiejętna. Nietylko świadczył, ale i umiał świadczyć. A to nie dla rozgłosu, nie dla wziętości swojej, a wdzięczności ludzkiej, lecz dla tego aby się dobre stało. W przyjaźni nikt od niego nie był wierniejszym i serdeczniejszym, nikt też większej liczby przyjaciół wiernych i poświęconych nie posiadał. Kochał on ich jak na męża przystoi. Rada jego, prawda przez niego wypowiedziana nigdy nie raziła ani obrażała, a często skutkowała, bo zawsze była wpływem miłości, i nawzajem też prawdy z niej wypływającej nigdy nie odpychał. Lecz z tą mężką przyjaźnią łączył on prawie niewieścią czułość, objawiającą się w ciągłych czasem najdrobniejszych, lecz zawsze ujmujących dowodach przychylności i pamięci. Przyjaźń jego i podbijała i zniewalała. Taką była niepokalana czystość, poetyczność, idealność jego duszy, że każdy brud, każda hańba przejmowała go boleścią. Bardziej go smuciła sprośność i podłość ludzka jak niedola.

Dla tych, którzy obcowali z nim stawał się stróżem moralnym, drugim sumieniem. Dusza jego była arfą Eolską, która nie za dotknięciem ziemskim lecz powiewami z niebios wiejącami poruszała się, i urocze wydawała dźwięki. Takiegośmy kochali i czcili, takiego stratę niczem w życiu nie zapełnioną oplakujemy, takiego dać poznać tym, którzy go z bliska nie znali będzie świętym obowiązkiem jego rodziny.

Od lat ośmiu tyle się jego fizyczne wzmogły cierpienia, że

choć umysł zachował całą potęgę twórczą, choć w nim wielkie, świetne powstawały myśli, ująć je w formę, związać je w całość zdolnym się nie mniemał. Większego więc rozmiaru pracy nie przedsiębrał. I choć pomysł Trilogii przedstawiającej Przeszłość, Obecność, Przyszłość siłą wnikał w nie ducha, utworzył i ułożył, wykończył tylko część drugą znaną publiczności, rozpoczął, lecz nie dokonał pierwszej, nie tknął się ostatniej.

Jednakże umysł taką twórczością obdarowany czuł ciągłą potrzebę udzielania zrodzonych w nim myśli i wrażeń. Wylewał więc je obficie w licznych listach, które rozpisywał. Zwyczajem się jego umysłu i serca stało w oddaleniu od najdroższych mu istot codziennie do nich się zgłaszać. Często także i z przyjaciółmi znosił się pismem. Nikt więc może w życiu tyle listów, i nikt tyle szacownych, godnych zachowania nie napisał. Gdyby wszystkie zebrane być mogły, liczba ich pewnieby się kilkonastotysięczną okazała. A te listy nie były zwyczajnem tego rodzaju pismem, bo on niczego co było pospolitem zdolnym nie był, te listy były odbiciem, że tak powiem fotografią jego duchowości. W nie całe serce swoje przelewał. W nich nie krępowany ani formą, ani miarą, ani rymem, wyraźniej się jak w utworach poetycznych cały objawiał. Często przybierały one najwspanialsze kształty, zdobiły się w cały urok poezji, stawały się psalmami, hymnami, czasem dramatycznymi dialogami, to znowu obejmując najgłębsze myśli o przedmiotach najgodniejszych rozmyślenia, występowały w postaci rozpraw, traktatów. A żadnego w nich przygotowania, wymuszonego nastroju niema. Są to dźwięki prosto, swobodnie, acz bystro z duszy płynące. Pisał jak czuł, jak mówił. Ale bo też jakże potężne było jego słowo mówione, kiedy z pełności jego ducha wypływało. Otóż ta liczna korespondencya jego, jest niewyczerpaną kopalnią złota i najdroższych kamieni, które z głębin ukrycia pod światło dzienne wydobyte być powinny. Listy jego niektóre całkowite, inne w ustępach dane stanowić będą skarb, jakiego śmiało powiem, żadna literatura w tym rodzaju nie posiada. Zamiarem też jest

w jak najkrótszym czasie zebrać te drogie pozostałości i podzielić się niemi z publicznością krajową, w tem wszystkiem, co dotyczy poezyi, sztuki, literatury, nauk, filozofii, religii, co mieści wrażenia obrazami natury wywołane. Te szacowne pozostałości są najdroższą duchową spuścizną i własnością rodziny zmarłego wieszcza. Straż nad niemi, prawo rozrządzania niemi należy wyłącznie do tej, która każdej myśli i uczucia jego była powiernicą i uczestniczką. Do wyboru listów całkowitych, lub ustępów z nich, doda się kilkanaście znalezionych a nie znanych rodakom poezyi ulotnych większego i mniejszego rozmiaru, w których poznają całą moc natchnienia i błyski poetycznego geniuszu ulubionego wieszcza.

Przy obecnem otrętwieniu umysłów, i nieurodzaju na niwach naszego piśmiennictwa, choćby tylko dwa lub trzy tomy, mieszczące pisma nieznajome dotąd Zygmunta Krasińskiego stałyby się posilkiem pożywnym wśród dusz omdłałości. Uzyskawszy je, jeszcze lepiej poznają rodacy i umiłują zmarłego. A wszyscy wczytując się w nie odzyskamy niejako najlepszą część jego, bo nieśmiertelnego ducha, którym ogrzewać się i zasilać, z którym jak najczęściej obcować, stanie się dla nas równie moralnym pożytkiem i rozkoszą, jak i pokrzepieniem w żalu.

Paryż, 20 kwietnia 1859 r.

A. E. Koźmian.

Q2C 66466

Bup

B6
B

Qrc 66466

BOOKKEEPER 2008



BG0486081

